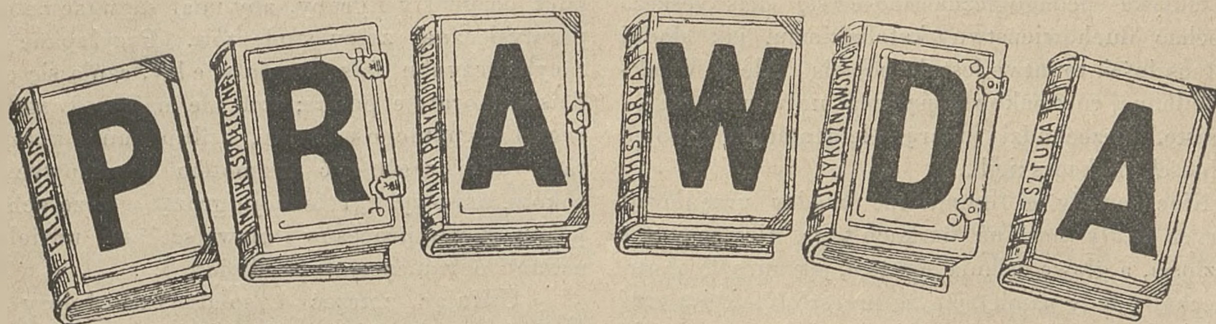
Nr 5 (1568). Warszawa, 4 lutego 1911 r. **Rok XXXI**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Duch Kopernika czy Puzyny?

Wszechnica Jagiellońska, w ciągu ostatnich dwuch tygodni, stała się areną niebywałych wstrząśnień. Kraków kipi od walki, której echa idą po całym kraju. Każdy dzień przynosi coraz potworniejsze wieści.

Naród w swym najżywotniejszym zespole, zrozumiał doniosłość i znaczenie podjętego przez młodzież wysiłku, i wsłuchuje się pilnie w przebieg walki, ale wsłuchuje się — z trwogą, bo, gdzie przeciw uporowi skamieniałego wstecznictwa idzie do ataku młodość i entuzjazm, tam niepodobna przewidzieć rozmiaru pobojowiska, i lada chwila mogą rozegrać się sceny nieobliczalne.

A jednak cokolwiek się stanie, odpowiedzialność całkowita za wynikłe ofiary i klęski, odpowiedzialność straszna, legnie wyłącznie na głowy tych, którzy, z natury stanowisk swoich powołani do uosabiania równowagi, rozsądku i oględności, — rzucili młodzieży akademickiej wyzwanie z taką zaślepieńczą furją fanatyzmu.

I młodzież to wyzwanie podjęła: ze spokojem wytrwania, z poczuciem niepokonanej słuszności swego stanowiska, spotkała narzuconą sobie twardą konieczność walki. Do przejawów czynnego protestu została poprostu zmuszona. A, protestując, nie za własną ujmowała się krzywdą: młodość uraz osobistych nie pamięta i łatwo je przebacza; krzywda własna nie długo i nie głęboko ją boli, gdyż bujność sił niewyczerpanych szybko wynagradza poniesione straty. Ale, natomiast, cios zadany społeczności, zniewaga, wyrządzona ideałom kultury, zamach na cześć i niepodległość ducha, przeszywa bólem dojmującym jej serce i zapala je żądzą odwetu.

A czymże była instalacja wykładów ks. Zimmermanna, ta nizka chęć zaszczepienia intryg agitatorskich na szlachetnej glebie *Almae Matris*, jeśli nie zamachem na godność i kulturę instytucji?

Młodzież, rugując ciemnego Poznańskiego parocha z czcigodnych murów Wszechnicy, staje na straży najświetniejszej i zarazem najstarszej tradycji tej uczelni, wskrzeszając hasła wolnomyślne XV-go i XVI stulecia, kiedy pod tolerancyjną opieką Jagiellonów młodo, bujnie i śmiało krzewiły się nauki i wczesna zakwitała sztuka, W przebiegu całego sporu, jaki toczy się między ogółem studentów a senatem uniwersyteckim, tradycja i lojalizm, nie w doraźnym i formalnym, ale w dziejowym oraz istotnym tych słów znaczeniu, znajduje się po stronie młodzieży. Ona reprezentuje ten prąd duchowy i występuje w imię tych haseł, które stanowiły o wartości historycznej Wszechnicy, które w przeszłości zgotowały jej okres najwyższej chwały.

Natomiast żywioły, sprzyjające ks. ks. Zimmermannom przedstawiają spóźnione odbicie dekadenckiej martwoty XVII-go i XVIII-go stulecia, kiedy Uniwersytet Krakowski pod śmiertelnym gniotem Jezuitów zeszedł nieomal do poziomu prowincjonalnego seminarjum.

Zbyt ciężko i zbyt tragicznie dał się we znaki ojczyźnie naszej ów okres polityki Jezuickiej, abyśmy dzisiaj do przywrócenia go mieli dopuścić. Rachuby i dążenia Jezuitów były zrozumiałe i jasne. „Nikt bardziej nad Jezuitów — pisał przed stu laty z górą Hugo Kołłątaj [1]) — nie czuł, jak trudno jest w narodzie nadto z naukami i umiejętnościami oswojonym

[1]) P. „Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III".

przewodzić; wygodniej im więc było utrzymać swój kredyt w kraju fanatyckim, zajętym suchymi nabożeństwa praktykami, póki tylko chciał przestać na takich naukach, jakie od początku zaprowadzili". Że taka taktyka pedagogiczna może się dziś jeszcze uśmiechać duchowieństwu katolickiemu, jak słodki sen przeszłości, to łatwe jest do pojęcia. Ale że w taktyce podobnej rozsmakował się senat uniwersytecki — to, zaiste, przechodzi miarę elementarnych pojęć o godności profesorskiej!...

Niechże tedy ci dygnitarze wiedzy urzędowej, z których każdy nosi na barkach togę, niby majestat przeszłości, a głowę osłania beretem, jak aureolą chwały, niechajże tedy pamiętają, że przeszłość, którą *oni* swymi bezzębnymi usty kanonizują, jest przeszłością schyłku, zgnilizny i nikczemności duchowej, przeszłością epoki Saskiej, przeszłością śmierci polskiej.

Protest, choćby najenergiczniejszy, przeciwko pasji agitatorsko-wyznaniowej Zimmermannów, nie jest bynajmniej wnoszeniem polityki i swarów przekonaniowych do Uniwersytetu: młodzież akademicka w Krakowie, latami całymi uczęszczając licznie na wykłady Tarnowskich, Bobrzyńskich, ba! nawet księży Pawlickich, ludzi słynnych z dążności wybitnie konserwatywnych, złożyła dowody wymowne, że poza kierunkiem przekonań umie dostrzec i ocenić w człowieku jego zasługi naukowe, jego talent, jego wartość umysłową, Młodzież brała od ludzi tych — ich wiedzę, ich doświadczenie myślowe, ich wyrobienie kulturalne, odrzucając ich programy polityczne i społeczne, Ale właśnie wartość tych jednostek dla młodzieży, żądnej poznania, polegała na tym, że poza programem, miały one w sobie coś, czym mogły dzielić się ze światem i że to coś było zawsze niezwykle cenne.

Taki np. ks. Stefan Pawlicki względną ciasnotę filozoficznego horyzontu okupywał niezmierzoną wprost głębią erudycji; katolicką cnotę ubóstwa duchowego wynagradzał w nim grzech bogatej wiedzy historycznej. Ale w stosunku do ks. Zimmermanna, rola obu pozycji staje się wprost biegunowo odwrotna. W nim — sukienka duchowna ma osłonić wstydliwą dziewiczość próżni umysłowej. Sakrament kapłaństwa ma gładzić grzech pierworodny — głupoty. Manewr tej szacherki ze strony władz uniwersyteckich był zbyt oczywisty i gruby, aby miał się udać na oczach parotysięcznej rzeszy studentów. Przyłapane na gorącym uczynku fałszowania wiedzy, czują się one już dzisiaj moralnie pobite; atoli nie mając odwagi szczerego i sromotnego odwrotu, usiłują hańbę kompromitacji swej zagłuszyć grzmotem jowiszowych wyroków, masowych relegacji, grozą wszczętych przez prokuratorję procesów i ulewą setkami udzielanych nagan i ograniczeń stypendjalnych.

Usiłując zatrzeć i splątać zasadniczy węzeł sprawy, senat uniwersytecki ściąga walkę z poziomów ideowych na teren karności i rygorów administracyjnych. Zatrzymanie ks. Zimmermanna na katedrze socjologji wydaje mu się w chwili obecnej, ze względów czysto formalnych, niewzruszonym imperatywem konsekwencji.

Ale sztuczne względy pozornej, powierzchownej konsekwencji muszą ustąpić tam, gdzie chodzi o rzecz nierównie większą, gdzie chodzi o rzecz prawdziwie wielką, bo o zdrowie umysłowe narodu, o czystość i wolność jego myśli. Precz więc z ową klerykalną, nikczemną buchalterją, która małostkowe pobudki miłości własnej skonfundowanych dostojników beretu przeszacowywa na opatrznościowe cnoty ojców młodzieży! Precz z ową niegodną, błazeńską maskaradą, na której za patronkę polskiej wiedzy, polskiej kultury i umysłowości obwieszcza się — „Moją Babę" księdza Zimmermanna.

Precz z ową organizacją niewoli wewnętrznej, i rodzimego ucisku! Dosyć, zaprawdę, dosyć mocno skrępowane dłonie mamy i bez tego! I dość potężnie zaklebnowane usta! Sprzymierzone armje strzegą z dostateczną czujnością bezwładu naszej woli i snu naszego intelektu! Usługi przeto wasze, dzielni panowie, są co najmniej zbyteczne! Obawy wasze jeszcze przez długi, długi czas, niestety, pozostaną przedwczesne i płonne!

Leon Choromański.

Z cyklu „Ogień i Rosa".

Wąż.

Przyszedłem do lasu, gdzie huczy młyn wodny. Grube białe grążele jaśniały na stawie. Popatrzywszy, jak rozbija się woda o koło, wsiadłem w łódź i pojechałem.

Kiedym już odbił — młoda dziewczyna, Elza, wyciągnęła do mnie ręce z brzegu. Chciała, bym zabrał ją z sobą.

Popłynęliśmy we dwoje — ja i Elza. Słońce nad nami było trzecie; jasna rzeka — czwarta; siny, oczekujący las, do którego zmierzaliśmy z cichym pluskiem — piąty. Gdy łódź zachodziła w szuwary—łodygi roślin i grube liście ocierały się szemrząc o jej boki.

Wylądowaliśmy na płaskim brzegu i ruszyli do lasu. Maleńkie stopy Elzy zostawiały ślady w białawym piasku obok gwiaździstych śladów jakichś tajemniczych łapek ptasich. Przechodziliśmy koło wykrotu, wysłanego mchem, jak wyblakłym staroświeckim aksamitem, gdy wąż podniósł głowę i zasyczał. Elza spojrzała i uśmiechnęła się. Może coś obudziło się w jej duszy, czego nie chciała mi wyznać odrazu.

Nachodziliśmy się po lesie, nasłuchali gwaru małych ptaków, ukrytych po konarach klonu, napatrzyli na polśniewające cicho pajęczyny między sosnami i na pięknie fryzowane wachlarze paproci. Wreszcie usiedliśmy na brzegu wody i skraju lasu. Rzeka lśniła niebiesko. Tańczyły nad nią szafirowe libelle. Otaczały nas kręgiem nizkie krzaki jałowcu.

Elza objęła rękoma kolana.

— O czym myslisz, Elzo? — zapytałem.

Przymrużyła jasne oczy, aż jej długie rzęsy przypadły do policzków, i rzekła, że syczący wąż chęć w jej sercu obudził głuchą a grzeszną. Zapragnęła ująć ręką jego zimne, prężące się ciało i uczuć ukłucie śmiertelne w lewą pierś... jak Kleopatra.

Siadłem bliżej i wziąłem ją za rękę. I tak snu-

Lecz jeśli, trwając w zaciekłości, senat uniwersytecki w Krakowie nadal prześladować będzie ducha niezależności i swobody. rozganiając młodzież po świecie i tłumiąc ognisko oświatowe jednej z dwóch jedynych w Polsce wszechnic, tedy posieje on burzę przeciwko sobie, której owoce nie dadzą na siebie długo czekać.

Ogół całej Polski, Polski żywej, rwącej się w przyszłość, Polski pracującej i twórczej duchem jest w chwili obecnej z młodzieżą, jednoczy się z jej walką i z jej wysiłkiem. Po przez dusze młodzieży krakowskiej ozwały się najgorętsze postulaty polskiej myśli rozwojowej.

Odrodzenie nasze może dokonać się jedynie poprzez przebudowę psychiki naszej; kult rozumu, kult prawdy, rozwagi i ścisłości w ocenianiu i rozpoznawaniu zjawisk stać się musi najenergiczniejszym czynnikiem dźwignięcia naszej doli. Lecz czynnik ów rozwinąć i wykształcić można jedynie na podstawie wszechstronnej nieograniczenie wolnej uprawy badań naukowych, zdala od agitacyjnych rogatek wyznanionych. Dążność do wyzwolenia mózgu z przemocy krępujących go osłon winna stać się naczelnym naszym przykazaniem. Za podjęcie tej walki wyzwoleńczej, należy się młodzieży krakowskiej od pokolenia obecnego uznanie i poparcie, a od przyszłych dank i sława.

Gdyby w zaraniu XVII st. znalazła się była w Polsce równie energiczna grupa młodzieży z równie doniosłą siłą walcząca przeciw zalewowi Jezuityzmu, dzieje ojczyzny naszej, być może, poszłyby nieco innym torem.

Dziś, o całe stulecia męki dziejowej zbogaceni, zaliż możemy wahać się jeszcze, czyj duch rządzić ma w świątyniach wiedzy polskiej: duch Kopernika, czy Puzyny?!

Igraszki gazowe.

W kilku ostatnich numerach *Przegl. Technicznego* z r. ub. pomieszczono szereg artykułów, będących właściwie odbitką odczytu, wygłoszonego przez inż. F. Bańkowskiego, na V Zjeździe techników polskich we Lwowie p. t. *Stan sprawy gazowej w Król. Polskim, na Litwie i Rusi.*

Pomijając kwestje techniczne, jako nieobchodzące szerszy ogół, chcemy poznajomić naszych czytelników z niektórymi danymi, dotyczącymi finansowej strony sprawy. Dzieje gazowni Warszawskiej oraz stosunku magistratu Warszawskiego do Dessauskiego Towarzystwa są mniej więcej znane, nie od rzeczy jednak będzie zaczerpnąć trochę dat i cyfr z ciekawego artykułu inż. Bańkowskiego. Otóż koncesja na prowadzenie przedsiębiorstwa w Warszawie została udzieloną Towarzystwu Dessauskiemu w r. 1856; cena za 1000 $(st)^3$ została oznaczoną na rb. 3,25 kop. dla odbiorców prywatnych, dla miasta zaś cena za jedną latarnię uliczną przyjęta była na rb. 18,50 kop. pod rygorem stopniowej zniżki, aż do 12 rb. w miarę rozwoju konsumcji prywatnej, mianowicie: gdy takowa dojdzie do 150 miljonów $(st.)^3$. Koncesja miała trwać 25 lat, poczem — o ile by miała być przedłużoną, — miasto warowało sobie, że po upływie dalszych 15 lat całe urządzenie staje się jego własnością. Aliści już w r. 1867 — pod pozorem potrzeby zaprowadzenia wodociągów gazowych na Pradze — Towarzystwo Dessauskie zażądało i uzyskało zwolnienie od wyżej wspomnianego rygoru, jak również od obowiązku obniżenia ceny za latarnię uliczną z rb. 18,50 na 12 rb.; przeciwnie, cena rb. 18,50 kop. została ustaloną raz na zawsze, a nawet wprowadzono nową cenę rb. 24, 95 kop. za płomień uliczny większej siły. Natomiast — przyznać trzeba — cena za 1000 $(st.)^3$ dla prywatnych odbiorców została zniżoną do rb. 2,50 k., zaś w 4 lata potym — jeszcze raz do rb. 2,35 kop. W r. 1883 miasto zawarło z Towarzystwem nową umowę, mocą której koncesja została przedłużoną do r 1906, poczym miastu miało przysługiwać prawo... wykupienia wszystkich urządzeń za cenę, będącą w zależności od wysokości zużycia gazu, lub też opartą na obliczeniu wartości zakładu, którą to wartość miano określić na zasadzie przeciętnego dochodu za ostatnie 3 lata, pomnożonego przez dziesięć. Cenę dla prywatnych odbiorców zredukowano do rb. 2 za 1000 $(st.)^3$, dla miasta zaś cenę za zużyty gaz ustalono

---

ła cicho i spokojnie swe marzenia. Chciała być Kleopatrą, tak jak jej towarzyszki chcą być kurtyzanami lub świętemi, siedząc wygodnie w fotelu, z nóżkami w ciżemkach, złożonymi na miękkim kobiercu, zapominając dobrotliwie, że nie dość wziąć węża za ogon, by zostać królową egipską.

Mówiła:

— Jestem tak obca w domu, w kręgu jasnym i głuchym lampy rodzinnej. Tak pragnę wiedzieć, jak wielki jest Bóg dla odtrąconych. Duszę ognia chcę poznać, truciznę i szaleństwo wina, piękność zwycięzkich stosów słońca, gdy zachodzi. Na tych stosach, jak na różach z płonącego kruszcu, leżeć pragnę naga i być widzianą przez pół świata. Schodziłabym jak Kleopatra do podziemi oddawać się niewolnikom, aby i oni poznali upojenie i hojność królewską. Ach, objąć ramionami wszystkie szaleństwa i rozkosze, jakie dać może ziemia i żywioły! Uczuć wreszcie i tę łkającą uciechę, gdy z palca z sunie się i utonie w morzu najpiękniejsza w świecie perła. Tak żyć, aż cień śmierci zasłoni słońce! Taką chcę być, ale niestety dziewiczość moja najmniejszego nie daje popełnić mi grzechu"...

Tak mówiła. Słońce zaszło. Siedliśmy znów do łodzi. Płynęła sama z prądem rzeki. Złożyłem wiosła. Elza była milcząca, jak zmierzch. Może coś dojrzewało w ciszy nocy i jej duszy. Pochyliłem miękko głowę na jej piersi i objęty gorącym pragnieniem: wiedzieć wszystko — słuchałem, jak bije jej serce.

Stos.

Pusty pokój i słaby odblask księżyca, leżący na schodach, na którego widok ściskało mi serce jakimś odległym, nurtującym cierpko wspomnieniem, odpychały mnie od bramy i błądziłem po mieście, które pustoszało zwolna i pogrążało się w ponure znużenie. Wiele latarń zgasło. Po chodnikach rzadko rozlegały się kroki przechodniów. I tak krążyłem w półmroku ulic i placów, z duszą cierpiącą od nieokreślonej głuchej tęsknoty. Okna pogasły i poczerniały. Domy — jedne martwymi się wydawały, inne — pogrążonymi w sen głęboki. Księżyc zaszedł i miałki śnieg, który upadł niedawno, nadał brukom bladość jednostajną. Nagle na skrzyżowaniu ujrzałem stos na środku ulicy. Kłęby dymu wznosiły się w rozkrętach fantastycznych. Z lekkim trzaskiem iskry sypały się

w zależności od ilości kub. stóp, mianowicie za pierwsze 53 miljony ryczałtem 38,000 rb., powyżej zaś tego za rb. 1,15 kop. za 1000 (st.)^3. I oto z upłynięciem terminu tej nowej koncesji okazało się, że chcąc wykupić urządzenia gazowe miasto musiałoby zapłacić Dessauczykom conajmniej $7^1/_2$ miljona rubli (albo nawet 10 milj., jeżeli szacunek oprzeć na dochodowości), ci bowiem — korzystając z brzmienia ostatniego kontraktu — nie tracili czasu, mianowicie: rozwinęli niebywale energiczną działalność w kierunku zwiększenia zużycia gazu przez prywatnych odbiorców, nie cofając się nawet przed znacznymi nakładami, co do których — rzecz oczywista— musieli mieć niepłonną nadzieję, że je zdążą zamortyzować. Jak widać z załączonej poniżej tablicy ogólne zużycie gazu istotnie w okresie lat od 1899 do 1904 znakomicie zwiększyło się i to — naturalnie — przeważnie dzięki prywatnej konsumcji, co zresztą widać choćby z tego, że w roku 1905 — mimo, iż występuje już na widownię elektryczne oświetlenie — ogólne zużycie bardzo niewiele się zmniejsza, a następnie zaś nawet znów się zwiększa.

W r. 1864	zużycie	w okrąg.	cyfrach	48,000,000	(st.)^3
„ 1879	„	„	„	262,000,000	„
„ 1889	„	„	„	456,067,000	„
„ 1899	„	„	„	862,786,000	„
„ 1904	„	„	„	1,224,778,000	„
„ 1905	„	„	„	1,161,846 000	„
„ 1906	„	„	„	1,079,669,000	„
„ 1907	„	„	„	1,184,792,000	„
„ 1908	„	„	„	1,243,060,000	„
„ 1909	„	„	„	1,317,700,000	„

Z wyżej wyłuszczonych powodów — a może i z jakich innych — miasto w r. 1906 gazowni nie wykupiło, tylko zawarło nową umowę na lat 35, poczym nareszcie — pod naciskiem opinji — zastrzegło sobie, że w r. 1941 całe urządzenie przechodzi darmo na rzecz miasta. Natomiast w umowie tej zapomniano zupełnie o pewnej drobnostce, co jednak zastrzeżone było w umowie poprzedniej, mianowicie, że w razie przedłużenia koncesji cena dla prywatnych odbiorców za 1000 (st.)^3 ma być obniżona o $10^0/_0$ czyli do rb. 1,80 kop. Zato nie zapomniano o podwyższeniu opłat za gaz, zużyty na potrzeby miejskie, ustalono bowiem ceny: za pierwsze 70 miljonów (st.)^3 po rb. 1,80 kop. od 1000 (st.)^3, za następne 70 miljonów — po rb. 1,70 kop., czyli, że jeżeli do r. 1906 za 100 miljonów (st.)^3 miasto płaciło 87,019 rb. rocznie, to obecnie musi płacić za to samo 175,500 rb., a więc 2 razy więcej.

A jest w tej umowie jeszcze jeden punkcik, mocą którego w ostatnim dziesięcioleciu przed wygaśnięciem koncesji miasto obowiązane jest brać udział w wydatkach inwestycyjnych, które będą musiały być dokonane według uznania Towarzystwa. Łatwo wyobrazić sobie, że takie zastrzeżenie może mieć bardzo dotkliwe następstwa dla kasy miejskiej.

Z tego wszystkiego, co się wyżej powiedziało, — nie trudno wywnioskować, że o ile wogóle szczęście może być dostępne ludziom na tym padole łez, — to niewątpliwie jest ono udziałem Dessauskiego Towarzystwa. W ogólnej sumie jego obrotów Warszawska Gazownia stanowi przeszło $50^0/_0$, jeżeli więc od czasu swego powstania, t. j. od roku 1855 do chwili obecnej Towarzystwo — oprócz poważnych rezerw i nie mniej poważnej rok rocznie wypłacanej dywidendy (koło $10^0/_0$) — potrafiło jeszcze skapitalizować majątek, wynoszący przeszło 30 miljonów rubli, — to juści przedewszystkiem Warszawie to zawdzięcza.

Od tych rzeczy niewesołych przejdziemy teraz do zupełnie wesołych, bo istotnie dzieje gazowni w Wilnie, które teraz pokrótce chcemy streścić, — wkraczają już w dziedzinę szczerej humorystyki. Rzecz się miała tak:

W r. 1863 gen. Murawjew wydał koncesję na urządzenie gazowni miejskiej niemieckiemu konsorcjum, które następnie w r. 1873 przekazało ją innej firmie, mianowicie Berlińskiemu Towarzystwu Neue Gas Actien Gesellschaft. Koncesja ta skończyła się w r. 1888. Zdawało się, że do tego czasu Zarząd miasta powinien był przygotować wszystko, ażeby dalszy stosunek jego do Towarzystwa z dniem tym był już ustalony. Tymczasem jednak stało się inaczej i koncesjonarjusz pozostał nadal przy swoim — jak gdyby nic nie zaszło, miasto zaś od tej chwili rozpoczyna jakąś cudaczną grę, która doprawdy wyglądałaby na ucieszną krotochwilę, gdyby w istocie nie miała tak opłakanych rezultatów. A więc w styczniu 1892 r. (rychło w czas!), Rada miejska porucza Zarządowi miasta zająć się opracowaniem planu ewentualnej zamiany oświetlenia gazowego na elektryczne; d. 22 lutego 1895 r. następuje inne znowu polecenie, ażeby rozważyć kwestję oświetlenia wspólnie elektrycznością i gazem; natomiast 5 grudnia 1897 r. tworzy się Komisja z 10 radnych dla porozumieniu się z właścicielem gazowni, ewentualnie zaś dla przygotowania sprawy oświetlenia elektrycznego. Nareszcie we

---

z płomienia. Sam on był złocisty, igrał i pląsał na podobieństwo targanego przez wiatr krzewu różanego. Trzy ciemne postaci ludzkie czaiły się dalej — w bramie, lecz koło stosu było pusto. Cicho, by nie zwrócić na siebie uwagi, zbliżyłem się do ognia i odwróciwszy się do ludzi plecami — przykucnąłem. Oczy me wejrzały żarliwie w różowawo-złociste wnętrze ognia i tam, w tem wnętrzu, ujrzałem wysmukłą dziewczynę, w lekkiej jak wietrzyk sukni zielonej. Patrzyła na mnie wielkiemi źrenicami, przysłaniając je dłonią. Wreszcie poruszyły się jej usta i zaszeptała: „Kto to?" Słyszałem, jak te słowa wyszły z wnętrza ognia. Potem widocznie poznała mnie, bo, położywszy dłoń na sercu, z uśmiechem ukłoniła mi się tak nisko, że jasne włosy jej dotknęły ziemi. Zadął wiatr i wegnał na mnie kłąb cierpkiego dymu, zakrywając dziewczynę. Kiedy zaś dym się rozwiał, ujrzałem, że pusto było w ogniu. Patrzyłem długo w płomień, lecz nie ukazało się już nic więcej...

I jam ją poznał. Spotykałem ją niegdyś w pewnym miłym mi odtąd mieście. Stawałem na moście i wsparty o poręcz, patrzyłem na wodę. Szła ku przedmieściu koło ogrodów, gdzie kwitnęły róże, koło okien otwartych, gdzie za muślinowymi firankami szczebiotały kanarki. Jeżeli stary kościół klasztorny był otwarty — często zachodziła. Tam, zanim się wejdzie, było długie przejście, gdzie wisiał Chrystus na krzyżu, zawinięty w czarną gazę. Na ścianach stare widniały malowidła Wśród płomieni piekielnych wykrzywiały się twarze potępionych i szkaradnych szatanów o kozich brodach, rogach i brzuchach, zwisających miękko jak u żab. Wchodziła do ciemnego kościoła, gdzie na ścianach i stropach dwie królowały barwy: czarna i złota, i modliła się gorąco. Twarz jej była blada, a oczy — cudowne.

Raz oczekiwałem jej napróżno na zwykłym miejscu. Nie przyszła i dnia następnego. Nie widziałem jej odtąd nigdy.

Spotkanie powtórne.

Pewnego dnia, gdym się wałęsał bez celu, przetoczyła się przedemną kareta ze spuszczonem oknem. W jej głębi ujrzałem piękną kobietę i młodego mężczyznę. Rzuciła mi się w oczy jej śnieżna szyja i olśniewające pełne ramiona. Mężczyzna czule obejmował jej kibić. Poszedłem dalej, czując nurtowanie

wrześniu 1898 miasto wytacza właścicielowi gazowni proces o bezprawne władanie nią, użytkowanie placów i ulic miejskich. W roku 1900 zapada decyzja wybudowania własnej elektrowni, która zaczyna funkcjonować w r. 1903. W roku 1899 miasto wygrywa proces z gazowym Towarzystwem — w 1-ej instancji, w r. 1900 — w drugiej, wreszcie w r. 1903 — w Senacie. Zdawało by się, że to już koniec, tymczasem nie, bo tu właśnie dopiero nadchodzi kulminacyjny moment tragifarsy, Towarzystwo bowiem, które nota bene w trakcie procesu najspokojniej w świecie wybudowało sobie drugi zbiornik dla powiększenia produkcji gazu, — w rok po ostatecznym wyroku, który to czas miał być okresem likwidacji, występuje z propozycjami zawiązania nowej umowy — przy rozszerzonym terenie działalności — na lat 50 z ceną rb. 2,80 kop. dla prywatnych odbiorców, rb. 2,00 dla miasta za 1000 (st.)³. Propozycji tej miasto nie przyjmuje, jednak z drugiej strony nie przedsiębierze żadnych kroków prawnych przeciw Towarzystwu, natomiast prowadzi studja nad budową nowej własnej gazowni. W r. 1906 zostają wezwane do konkurencji różne firmy, żadna jednak ze złożonych ofert nie zadawalnia Rady miejskiej, która postanawia wypracować własny projekt, powierzając zrobienie takowego jednemu ze swych członków, inżynierowi, — który jednak — nic nie zrobiwszy — ku końcowi kadencji t. j. w r. 1909 oświadcza się przeciw budowie gazowni miejskiej z uwagi na wątpliwą rentowność. Na skutek wystąpienia w prasie inż. Bańkowskiego w następstwie przytoczonych przezeń rzeczowych argumentów oraz szczegółowych kosztorysów, Rada miejska wreszcie zdecydowała budowę własnej gazowni i wystąpiła do ministerjum o pozwolenie na zaciągnięcie pożyczki. Tymczasem nastąpiły wybory nowej Rady, i oto najniespodziewaniej w świecie w r. 1906 przedstawiciel gazowni, a zarazem radny, — zawiera z miastem tymczasową umowę na eksploatowanie gazowni w ciągu lat trzech, przyczem cena za 1 000 (st.)³ oznacza się na rb. 3.00 z warunkiem, że o ile zużycie gazu przekroczy 25 miljonów (st.)³ w ciągu roku to cena ta ma spaść do rb. 2,75 kop. powyżej 35 miljonów (st.)³ — do rb. 2, 50 kop., ponad 45 miljonów — do rb. 2,25 kop., wreszcie przy 60 miljonach do rb. 2,00.

Gdy jednak cyfra zużytego gazu zaczęła się zbliżać do pierwszej przewidzianej normy, powodując zniżkę, — a mianowicie w r. 1909, — nastąpiło coś, co przewyższyło wszystkie dotychczasowe figle, mianowicie: Rada miejska uchwaliła przedłużenie kontraktu z Towarzystwem z tą jednak zmianą w warunkach. że cena za 1.000 (st.)³ dla odbiorców została podwyższoną z rb. 3,00 do rb. 3,60 kop. Nie od rzeczy będzie zaznaczyć w tym miejscu, że dyrektor gazowni p. Schoenfeld był jednocześnie nietylko członkiem Rady miejskiej, ale zarazem *prezesem komisji finansowej i delegatem od Rady do Urzędu Gubernjalnego* dla spraw miejskich. Wkrótce potem stało się tak, że władze miejskie zgodziły się na to, by dawny właściciel gazowni, względem którego miasto posiadało prawo egzekutywy, ustąpił ją nowemu, mianowicie Towarzystwu Gazowo-elektrycznemu z Kolonji. No i w rezultacie, gdy znowu rozpoczęto debaty nad kwestją własnej gazowni, zatrzymano się na genjalnej myśli *nabycia* od Towarzystwa starej gazowni. Choć właściwie komentarze tu są zbyteczne, musimy jednak nadmienić, że instalacja, istniejąca od 47 lat, — jest nietylko stara, ale i zdewastowana, — produkuje gaz drzewny, co zgoła wyklucza możność przystosowania jej do wymagań nowoczesnych. I w dodatku zaproponowana cena kupna wynosi rb. 225.000, gdy ogłoszona w urzędowym bilansie Towarzystwa wynosi zaledwie 85.782 rb.

Tyle co do Wilna. Co się tyczy pozostałych miast, mianowicie: Łodzi, Lublina, Piotrkowa, Kalisza, Tomaszowa i Kijowa, — to naogół — mimo różne bolączki, naprzykład: zbyt wysoką cenę za gaz dla prywatnych odbiorców, — stosunki odnośne w tych miastach przedstawiają się o wiele *normalniej*, niż w Warszawie i Wilnie, — a nawet zupełnie normalnie, zwłasza w takim, naprzykład, Lublinie, gdzie koncesję zdobyło konsorcjum, złożone z miejscowych kapitalistów.

— b. h. —

Rzeczywistość czy sen?

(Szkic optymistyczny)

Każda obywatelka i każdy obywatel tej ziemi, od pierwszego oddechu po przyjściu na świat, aż do ostatniego tchnienia które wydaje opuszczając ziemię na zawsze — spożywa i zużywa niezliczoną ilość przedmiotów, które dla niego inni ludzie wytworzyli.

— Każdy więc człowiek bez wyjątku i bez względu na to do jakiejkolwiekby partji religijnej czy politycznej należał, jakiejkolwiek byłby narodowości, płci i wieku, jakąkolwiek część świata by zamieszkiwał,

zazdrości niewyraźnej, bo tuż obok przemknęła miłość, piękno i bogactwo.

To zlekka musujące we mnie poczucie zawiści kazało mi myśleć o tym spotkaniu z gorzką tęsknotą. I w czasie tych myśli wyłoniło się przede mną jasnobłękitne obszycie karety, kipiącia białość rączych koni i pęk róż płomiennych, które miękko i miłościwie leżały na kolanach kobiety. Na jej pieszczotliwie obnażonej szyi wisiał naszyjnik z promiennych brylantów i łagodne świecenie kamieni spływało na atłasowobiałą skórę.

Potem zapomniałem o karecie i o rozkochanej parze. W pewien pochmurny dzień ujrzałem koło furty pałacowej wieko trumny i hajduka w czarnym ubiorze ze srebrnemi galonami. Nie lubię umarłych i nigdy ich nie nawiedzam, lecz tym razem bez wahania wchodzić zacząłem po szerokich świetnych schodach, nie spojrzawszy nawet na klepsydrę. Znalazłem się w wielkim, obitym kirem pokoju, po którego środku, lecz nizko, stała srebrna trumna. Powietrze było nużące, przepojone zapachem mnóstwa kwiatów, które oddawały śmierci całą swą wonność. Grube żółte świece płonęły blado w pysznie kutych świecznikach. Zmarła leżała w czarnej sukni, a u nóg jej — pęk róż czerwonych, na których lśniły krople wilgoci, jak drobne łzy nieruchome. Pomyślałem, że trumna stoi nizko, by wygodniej patrzeć było można. Spokojna blada kobieta spojrzała na mnie ciemnemi oczyma, a potem wyszła. Jej suknia szeleściła lekko i smętnie. Widziałem na twarzy umarłej nieskończoną żałość i odrętwienie zgonu. Czułem głucho, że śmierć jest winą umierającego. Nagle wydało mi się, że spotkałem ją za życia, że to ta sama kobieta, która niedawno przejechała w karecie z mężczyzną i różami, w blasku młodej piękności. Jąłem chciwie wpatrywać się w jej twarz, wskrzeszać w pamięci promienny obraz miłości i zachwytu. Żałowałem, że jej piękne pełne ramię, ukryte teraz w czarnym rękawie, a którego wówczas widziałem okrągłą białość aksamitną, nigdy już nie obejmie szyi kochanka czy męża, a usta nie zadrżą pod całunkami. I jawnie ujrzałem, że te usta drgnęły, jakby czując, że ten, kogo kochała, nachyla się nad nią Jej sen śmiertelny lekkim się stał i widzącym. Podniosła głowę z trumny i zaszeptała głosem, jakiego nigdy nie słyszałem u kobiet, lecz jak przemówić może grób, w którym młode i piękne złożono życie:

„Tak, to ja, którąś widział wtedy, w blaskach

należy z pewnością do jednej partji obejmującej całą ludzkość — to jest do partji spożywców. I należeć do tej partji musi pod karą śmierci. Gdyby choć na kilka dni przestał być jej członkiem, zostałby skazany wyrokiem bez apelacji na śmierć głodową.

— I znów każdy człowiek bez wyjątku pragnie by wszystkie przedmioty spożycia były jaknajtańsze i jaknajlepsze.

— W tym fakcie elementarnym, a jednak podstawowym kryje się, jak dąb w żołędziu, przyszły, wspaniały ustrój świata.

— Czy to mistyfikacja, sen, majak chorej wyobraźni? Nie, to rzeczywistość, ale rzeczywistość przewyższająca nieskończenie bajkę.

— Posłuchajmy:

— Trzech robotników francuskich zeszło się po dniu pracy w handelku. Za cienkie, podrabiane wino zapłacili drogo. Jeden z nich rzekł:

— Gdybyśmy też zamiast kupować rzeczy złe i drogie i w ten sposób napychać kieszenie sklepikarza — sprowadzili sobie sami beczułkę wina i inne produkty wprost od hurtownych kupców? — Złożyli się po parę franków i po kilku dniach rozdzielili pomiędzy siebie sprowadzone wino. — Było ono dużo lepsze i dużo tańsze. Zachwyciło to robotników, i znów jeden rzekł:

A gdyby zysk nasz czyli różnicę ceny złożyć na kupienie innych produktów? Myśl jego przyjęto z poklaskiem. Dowiedzieli się o tym inni robotnicy i przystąpili do współki. Po krótkim czasie okazała się już potrzeba założenia własnego sklepu, który zaczął świetnie prosperować.

— Zachęceni jego współwłaściciele, nie dodają ani grosza więcej, a tylko nie biorą czystego zysku, przeznaczając go na zakładanie coraz nowych sklepów. Po kilku latach mają już ich kilkadziesiąt rozrzuconych w mieście. Przedsiębiorstwo rośnie, rosną jego zyski, a więc fundusz na nowe przedstębiorstwa współdzielcze (kooperatywy).

— Wreszcie stowarzyszeni, którzy dla sklepów swoich zaczynają już robić krociowe zakupy, dochodzą do wniosku, że zamiast je brać od składów hurtownych i dawać im przez to duży zarobek — lepiej i ten zarobek zagarnąć dla siebie. Zakładają więc wielkie hurtownie, które dostarczają wszystkim sklepom kooperatywnym towarów, a same biorą już je wprost z fabryk, kopalń, od właścicieli ziemskich i t. d. Kooperatywa zyskuje w ten sposób to wszystko, co zyskiwał hurtownik.

— Cóż robi z tą nadwyżką?

— Dotyka jej różdżką czarnoksięzką, której na imię: Rozum. Dotychczas była tylko konsumentem, to jest spożywcą na olbrzymią skalę. W tym momencie swego rozwoju jednym zwrotem genjalnym, a raczej jednym zuchwałym krokiem naprzód przechodzi złowrogą granicę, nakreśloną od wieków pomiędzy wytwórcą a spożywcą i staje się z kolei producentem.

— Jakim sposobem?

— Pomiędzy nią a przyrodą, bezpośrednią twórczynią wszystkich produktów surowych, stoi już tylko jeden pośrednik: wytwórca.

— Dotąd kooperatywa odrzuciła najpierw pośrednika najbliższego, to jest detalicznego kupca; sama stała się detalicznym kupcem i zagarnęła jego zyski. Wzniosła się wyżej, bo na swym sztandarze wypisała na zawsze: „Excelsior". Odrzuciła pośrednika dalszego, hurtownego kupca; sama stała się hurtownym kupcem i zagarnęła jego zyski... Excelsior!... Odrzuca pośrednika najdalszego, to jest wytwórcę; sama staje się wytwórcą i zagarnia jego zyski. Kupuje ziemię, kopalnie, kupuje i zakłada fabryki, obejmuje już nietylko cały handel, ale i całe rolnictwo, i cały przemysł kraju!

— Niema pośredników, walczących między sobą i wyzyskujących biedne, nieoświecone rzesze. Wszyscy są współwłaścicielami.

— Uświadomiona, zrzeszona ludzkość staje twarzą w twarz z przyrodą! Skarby życia, dobrobytu, radości czerpie wprost z jej macierzystego łona.

— Ale przychodzi jeszcze dalsza ewolucja. Kooperatywy wszystkich krajów łączą się w jedno zrzeszenie, regulujące produkcję i konsumcję i obejmujące świat cały!

— Wielka rodzina ludzka, przez zrozumienie własnego iuteresu wzniosła się na nieskończenie wyższy od dzisiejszego szczebel rozwoju. Urzeczywistniła prawieczny sen świátłych swych duchów.. Słowo ciałem się stało... A to wypłynęło z tego elementarnego i poziomego faktu, że każdy człowiek jest spożywcą i w jego interesie leży by spożywać dobre i tanie produkta. W sile spożywczej ludzkości, iście cudownym sposobem tkwi jej odrodzenie...

— Czy można wyobrazić sobie kolosalniejszy rezultat osiągnięty minimalniejszym nakładem ofiar i czy to nie jest cudowniejsze od wszystkich baśni Wschodu? Człowiek bowiem ażeby stworzyć kooperatywę nie potrzebuje ponosić żadnych ofiar, prócz jednorazowej małej składki, przeciwnie otrzymuje od razu korzyści, bo dostaje wszystkie produkty dobre, nie sfałszowane i za cenę uczciwą. Kooperatywa nie

---

miłości. Zazdrość twa słuszną była... Byłam tak bezmiernie szczęśliwa... Szaloną uczyniło mnie szczęście. W obłędzie rozkoszy zapragnęłam śmierci w *jego* objęciach. I gdy me ciało śmiertelne drżało, upojone pieszczotą, odwróciłam głowę i w frenetycznym szale nienasyconej żądzy opróżniłam flakon trucizny. Ach, ta chwila pełna grozy i szczęśliwości, gdy *on* z wściekłością rozpaczy walczył o mnie ze śmiercią! Wierzyłam, że miłość jest wieczna, a śmierć będzie tylko epizodem jej wiekuistego życia. Jakżem się myliła! A teraz chcę żyć, żyć znowu... płonąć w ogniu mej namiętności... Cóżem uczyniła! Chcę żyć znowu, chcę żyć"...

Wymówiwszy te słowa, poddana śmierci upadła głową na poduszki trumny. Smierć obaliła ją i skuwała lodowatym paraliżem — już na zawsze. Nie mogła powstać ani podnieść głowy, lecz płakała. Mętne, rozpaczne łzy spływały z przymkniętych oczu po twarzy, zapadającej w coraz ciemniejszą głąb grobu...

Uczułem strach przeraźliwy, a gdym się obrócił, aby uciec, jakby dotknięcie pełnych lodowatych ramion umarłej na obnażonych plecach. Szczękały mi zęby. Przeskakiwałem po trzy stopnie, bo uroiło mi się, że ramię zmarłej wysunęło się z trumny, że wyciąga się za mną na schody, jak rozwijający się ze splotów długi wąż, chce chwycić mnie za włosy i przytrzymać. I słyszałem głos tuż koło ucha, który szeptał: „Widziałeś szczęście Miłości, patrz że teraz na klęskę Śmierci"...

Cztery lampy.

W komnatę wszedłem czarną, po której ścianach czerwone kurzyły się pochodnie, a pośrodku rozkładał się basen wody, łuszczącej się srebrzyście. Swiatło rozlewało się milcząco po wielkich drzwiach kryształowych, które rozdzielały dwa światy: wieczoru, nad którym paliły się gwiazdy, i cielistego dnia. Swiatło bowiem lamp, gorejących bez mrugania po czterech rogach komnaty, osłaniały różowo-złote umbrele. Stanąłem w kręgu jednej lampy i uczułem natychmiast jakoby cień na twarzy, jaki rzucać mogą długie, lekko wygięte rzęsy młodej dziewicy, które jak macki owadów, kwiat zapładniających, obejmują duszę i budzą pierwsze szczęścia westchnienie. Skierowałem się potem ku drugiej lampie, której cienka

potrzebuje również żadnej jałmużny od kapitalistów, żadnej pomocy od państwa, prócz tej jednej, by jej pozwoliło istnieć. Cudowny ten organizm, przedziwny kwiat cywilizacji żyje i rozwija się sam, mocą swej własnej, wewnętrznej potęgi twórczej. Z drobnego żołędzia wyrasta królewski dąb-mocarz!

— Przed tysiącami lat wzniosły marzyciel rzucił hasło odrodzenia ludzkości przez miłość i poświęcenie. Jakkolwiek szczytne byłyby te hasła, okazały się one do wprowadzenia w życie niemożliwymi. Człowiek na ogół biorąc, do końca świata będzie więcej kochał siebie niż bliźnich. Altruiści byli i będą zawsze wyjątkami tylko. I dla tego ludzkości nie odrodził i nie odrodzi nigdy altruizm. Odrodzi ją tylko egoizm, bo dobrze zrozumiany egoizm mówi: „Ażeby mój dobrobyt był pewny, trwały i bezpieczny, potrzeba bezwarunkowo by wszyscy ludzie wokoło posiadali również dobrobyt".

Jadwiga Olszewska.

Wacław Nałkowski.

Ur. 1852 — zm. 1911.

Śmierć Wacława Nałkowskiego uderza w społeczeństwo ciosem nagłym a okrutnym. Nauka, publicystyka i literatura polska dotkliwie odczuje brak jego niestrudzonej pracy, jego przenikliwej myśli, jego świetnego pióra, a przedewszystkim — jego ręki uczynnej. Nałkowski był jednym z tych nielicznych w Polsce duchów, którzy wysiłkiem wytężonej myśli w najokropniejszych warunkach środowiska umieli rozpalić i na wysokościach utrzymać pochodnie kultury; był jednym z tych, których ofiarą pracy i niemal ceną życia dźwiga się ruch umysłowy, dźwiga się i — nie pada w najzgubniejszych kataklizmach czasu. Wzniosła, rycerska jego dusza wzdrygała się przed fałszem i obłudą życia, przeciw wszelkiemu uciskowi, wszelkim dogmatom i przesądom rutyny wypowiadając walkę surową, nieubłaganą — i dozgonną. Stosunki swe i postawy wobec ludzi i zjawisk, wobec instytucji i sił społecznych, Nałkowski określał zawsze w sposób jasny i wyraźny. Zła, połowiczności, lenistwa duchowego i wyzysku, pasorzytnictwa i ciemnoty z pietyzmem kultywowanej, nienawidził całą potęgą duszy, nieprzejednanie i namiętnie; ideały natomiast społeczne i narodowe, tudzież ludzi, choć w małym stopniu do urzeczywistnienia ich się przyczyniających — kochał bez granic. Na nieprzyjaciół ideowych, reprezentantów wstecznictwa i zastoju, uderzał bronią śmiałą i mocną, często niebezpieczną, ale zawsze otwartą, jawną, zawsze uczciwą i szczerą.

Przejęty powagą twórczej, surowej pracy, najgłębszą treścią serca swego odczuwając upośledzenie i mękę ubogich rzesz pracującego ludu, Nałkowski szczególnym był przeciwnikiem estetyzującego pozerstwa, swawolnego epikureizmu i płytkiej blagi kawiarnianej. Jeszcze niedawno temu, mieliśmy sposobność podziwiać wytrawność, siłę i subtelność jego sądu w krótkich „Impresjach".

„Są typy, — pisał on w jednej z nich — lubiące wahać się między hulankami i ascetyzmem lub mistycyzmem. Jest to, przyznajemy, zabawa bardzo higjeniczna, ale też i bardzo pańska: ktoś musi na taką zabawę ciężko pracować".

Dążność do osiągnięcia potęgi i pełni duchowej, o samą siebie wspartej, nie zależnej od nikogo, ale i nikogo też nie wyzyskującej, dla nikogo nie będącej uciskiem, — była ideą kierowniczą w życiu Nałkowskiego. Powszechny ustrój społeczny, zdaniem jego, winien przedstawiać realizację do najdalszych granic posuniętej demokracji, wszelako na podstawach szerokiego i bezwzględnego demokratyzmu. Nałkowski żądał od jednostki arystokratycznego poczucia swej jaźni, żądał królewskich skarbów ducha i bohaterskiej woli. Cała młodzież polska, szarpana rozbieżnością prądów, skupiała się w zgodnym uniesieniu czci dokoła tej żagwi gorejącego idealizmu, jaką było życie tego człowieka! Patrząc na niewzruszoną jego moc wytrwania na samotnym i niewdzięcznym stanowisku, młodzież krzepła otuchą wiary w dzielność człowieka, zapalała się tęsknotą przyszłości i wolą dorastała — Czynu.

Ogniskując promienie uwagi powszechnej na postaci Nałkowskiego, przedewszystkim jako na charakterze, jako na wychowawcy pokolenia i wybitnym typie społecznym, nie chcemy przez to bynajmniej bagatelizować działalności naukowej zmarłego; owszem, przekonani jesteśmy, że najtrwalszą pamięć zostawi po sobie na polu nauki, którą od lat wczesnych umiłował — na polu geografji. Ale gdy zasługi naukowe przemawiają językiem li tylko abstrakcyjnym do mózgu, żywa postać człowieka zrosła się najściślej z sercem naszym, i dzisiaj, odchodząc na wieki w grób, odchodzi, zostawiając pustkę.

Poniżej, idąc za informacją prof. Jezierskiego, kolegi zmarłego i współbadacza w dziedzinie geografji,

---

wytworna porcelana jakoby zadrżała na moje przyjęcie. I ujrzałem w jej kręgu las świeży, młodemi mchami podesłany. Po drzewach, bujnym okrytych liściem, lśniących i młodych, fruwały ptaki, upierzone jaskrawo, jak maleńkie dzieci, postrojone przez naturę. Po długiem fruwaniu, podlatywaniu i świergotaniu, które jest ich mową, zwróciły wszystkie dziobki do mnie i zaśpiewały ślicznie, jak dla brata. I odszedłem od nich pocieszony. I zbliżyłem się do trzeciej lampy. Gdym wstąpił w jej krąg, ujrzałem przestrzeń jakoby ogromnego ogrodu strzyżonego. Murawa była soczysta — nieliczne kwiaty — różowe i białe — kryły się wśród zdziebeł traw miękkich, jakby ze stydu, że się tam znalazły. Ciemno-zielone głuche cyprysy stały kołem. I oto ukazało się słońce, ale nie szło górą, lecz nizko, i dotoczywszy się do trawy, taczać się zaczęło po murawie, jak naga przepyszna rozpustnica, która, oplótłszy nogi ramionami, uczyni lśniący krąg z ciała i tarza się po łożu. Uczułem ferment w głębi, jakoby podnosiło się we mnie i opadało krwawe morze. A gdym się znalazł w kręgu czwartej lampy, uczułem, że zapadam coraz niżej i niżej, aż ciało moje znalazło się w głębokiej studni. Chłód wiał od drzemliwej wody, a zręby pokryte były anemicznymi plastrami pleśni, roztaczającemi woń cierpko-kwaśną. I gdy tak w studni stałem, nie czując dołu swego ciała, jakby tułów mój od nóg już zmienił się w tę zimną zastygłą wodę, w której byłem pogrążony, ujrzałem płaza, wkłąb zwiniętego. Jego oczy zimne, obojętne i sędziwie-cierpliwe nie przeraziły mnie, lecz tą myślą natchnęły, że tu trwa wszystko wieki. Podniosłem głowę. Nad sobą noc miałem i gwiazdę. Czekałem na księżyc, a gdy ukazał się jego róg i zalśnił błędnie w martwym wody zwierciadle, ujrzałem twarz swoją, że nie z ciała już jest, lecz jakby z kory chropawej, (myśli zaś moje straciły niecierpliwość ludzką!), a ta zmienia się na kamień, a kamień kruszy się, rozpada i pyłem wraca w łono ziemi...



dajemy krótką wiązankę dat i faktów życia Nałkowskiego, tudzież wykaz ważniejszych dzieł jego.

„Wacław Nałkowski, urodzony w r. 1851 w Nowodworze, w Garwolińskiem, wykształcenie gimnazyjalne odebrał w Lublinie, wyższe — w Petersburgu, Krakowie i Lipsku. Jeszcze za czasów studenckich powstał w nim jego plan reformy stanowczej nauczania geografji („Szkice społeczne i literacki" 1876); zamiast przeładowywania podręczników geografji suchymi informacjami faktycznemi, Nałkowski domaga się w nich badań, wyjaśniania faktów geograficznych, ich przyczyn i skutków, tłomaczenia *związku* zjawisk. W ułożonej podług własnego planu książce („Geografja poglądowa") Nałkowski prowadzi ucznia od obserwacji zjawisk naturalnych do ich odtworzeń sztucznych (modeli, widoków, map). O wiele później dopiero dopominali się o taki sposób traktowania rzeczy słynny lozański profesor Schardt, oraz Lehmann. Znakomitym urzeczywistnieniem planu reformatorskiego w geografji stała się książka Nałkowskiego: „Geografja powszechna rozumowa" (3 wydania), w której pierwiastek pamięciowy gra rolę podrzędną, a *rozumowy* — naczelną; różnorodna działalność człowieka jest tu barwnie rozsnuta na kanwie fizyczno-geograficznych warunków krain. „Rozumowa" wywołała wrzawę w prasie i ohydną nagankę na autora ze strony utytułowanych „zawodowców"; bronili oni z zaciętością geografji od ataku ze strony... rozumu. Nieliczni tylko krytycy (Andrzej Świętochowski, Paweł Sosnowski) spotkali dzieło Nałkowskiego z uznaniem, a nawet z entuzyazmem. Następna praca Nałkowskiego: „Polska" (obraz geograficzny Polski historycznej — w „Słowniku geograficznym") jest pracą *nietylko znakomitą*, ale dotychczas, niestety, jedyną w swoim rodzaju.

W r. 1894, na posiedzeniu Tow. geograficznego w Petersburgu, Betzenberger żądał, by opracować geografję Litwy, i „według wzoru, jaki stworzył dla Polski uczony Nałkowski". Dzieje geografji skreślił Nałkowski w kronikach geograricznych w „Wiśle". W r. 1901 wydał pracę: „Ziemia i człowiek", potem „Geografję malowniczą", zasilał stale artykułami monograficznymi „Wielką Encyklopedję Powsz. Ilustr.", czasopisma „Naokoło świata" i „Ziemię", oraz „Poradnik dla samouków".

We wszystkich pracach geograficznych Nałkowskiego występują zawsze: głęboka, krytyczna znajomość przedmiotu i najświeższej literatury naukowej, łatwa do zrozumienia i ujęcia, przejrzysta konstrukcja materjału, barwna forma. Gdyby ktoś dzieła geograficzne Nałkowskiego wydał w języku niemieckim, zaimponowałby niemi „narodowi geografów". Gdzieindziej, zagranicą, uczony tej miary, co Nałkowski, miałby oddawna zasłużoną katedrę uniwersytecką, stawałby na czele ekspedycji naukowych; u nas — szarpany, odpychany, zarabiał „od wiersza", dawał niegdyś lekcje na pensjach. Wreszcie zerwały się struny jego ducha, wielkie serce, wrażliwe na każdą niedolę, skonało".

R.

W sprawie wychodźtwa.

W numerze 469 *Nowej Gazety* pojawił się artykuł p. Wojciecha Szukiewicza pod tytułem „Kłopoty brazylijskie". Tak sensacyjny tytuł wzbudził we mnie mocne zaciekawienie.

I oto dowiaduję się, że „poważne kłopoty brazylijskie" stanowią: nieumiejętność, czy też niemożność dowiedzenia się, czy istnieje wolny przejazd dla Królewiaków do wszystkich stanów Brazylji, a więc i do Parany. Pominąwszy, że „kłopoty brazylijskie" bez uciekania się do gazet doskonale rozwiązali różne Maćki, Bartki i Jaśki z Biłgorajskiego, Janowskiego, Zamojskiego, Makowskiego powiatów, udając się listownie do firmy przewozowej Hamburg Bahnhofstrasse Nr. 6 Morawetz, skąd otrzymali wolny przejazd do Brazylji, a po przybyciu do Rio-de Janeiro oświadczyli, że chcą jechać do Parany i nietylko jadą, ale jeszcze potrochu ściągają za sobą rozproszonych po różnych krańcach świata znajomych.

Wiele się mówi i pisze o niezaradności naszego chłopa, ale to fałsz. Można tylko mówić o niezaradności polskiej, a raczej zeszlachciałej części społeczeństwa, która uzurpatorsko starym szlacheckim zwyczajem siebie tylko za naród uważa, a swe wady i niedołęstwa chętnie na chłopów zwala, chcąc ich jeszcze i dziś robić pańszczyźniakami. Przeciwnie! Chłop po wyrwaniu się ze szponów różnych sępów, które go szarpią i krępnją w miłej ojczyźnie, bierze się do zwycięskiej pracy na każdym polu i bije przeciwników wszelkiej narodowości. My tu w Paranie mamy z chłopów i kupców, i przemysłowców, i obszarników, gdy tymczasem przedstawiciele szlachty, a pojawiali się oni dosyć licznie w Paranie, dyskredytowali tylko sobą polskość. Byli pomiędzy nimi i podrabiacze weksli, i oszuści, i karciarze, i denuncjanci, i pieniacze i co tylko chcecie, a i obecnie tak zwana inteligencja z bardzo, ale to bardzo małemi wyjątkami ma złą opinję albo nosi miano „niezdałych". I rzecz znamienna, że gdy inteligent obcych narodowości bierze się za jakąkolwiek pracę, podnosząc wkoło siebie kulturę, to polski, a mamy takich paru nawet z uniwersyteckim wykształceniem, zniża się do najbardziej niekulturalnych warunków i w nich bezwładnie tkwi;—przeciwnie, jak już wspomniałem, ma się z polskim chłopem, ale ten co prawda nie wychowywał się w szlachecko pańszczyźnianych tradycjach, ani też nie gruntował swej kastowości na żadnych „Trylogjach", bo nawiasem powiedziawszy Henryk Sienkiewicz swą Trylogją wyrządził narodowi polskiemu wprost nieobliczoną szkodę, powstrzymując tem arcydziełem stylu demokratyczny nasz rozwój, a krzewiąc szlacheckie kołtuństwo.

Ale wracam do „kłopotów". Pan Wojciech Szukiewicz pisze: „ks. Józef Anusz z Araukarji również o takim ograniczeniu nic nie wie". Rzeczywiście, pisząc do p. Sz. list obszerny w sprawie wychodźtwa, wyraziłem swe zdziwienie na kwestjonowanie wolnego przejazdu królewiakom, mówiąc: „my tu o tym nic nie wiemy" i prosiłem o danie mi jakiegokolwiek dowodu, któryby mógł stwierdzić istnienie takiego ograniczenia, ale do tej pory nie otrzymałem, tak jak nie otrzymałem go, gdym o takowy z górą rok temu prosił pana Józefa Okołowicza, redaktora *Polskiego Przeg. Emigr.* w Krakowie. Pan redaktor pisał mi, że królewiakom nie dają wolnego przejazdu do Brazylji. Wierząc temu oświadczeniu, zwróciłem się do bardzo wpływowego rodaka, który ze swej strony zainterpelował odpowiednie urzędy. Te mu oświadczyły, że podobnego ograniczenia nie wydały, a chcąc usunąć przypuszczalne nadużycie zażądały dowodów. Zwróciłem się po takowe do p. Józefa Okołowicza, gdyż on mi o tem ograniczeniu pisał i do dziś dnia nie mam odpowiedzi. Pytanie swoje obecnie powtarzam jako mąż zaufania i członek Polskiego Tow. Emigr. w Krakowie (Nr. udziału 84):

1-o Dlaczego p. Józef Okołowicz twierdzi, że istnieje ograniczenie co do bezpłatnego przewozu wychodźców z Królestwa Polskiego do Brazylji, a proszony o dowody takiego ograniczenia, odpowiedzi nie daje.

2-o Dlaczego mówi, że królewiakom, jadącym na rządowy koszt, nie wolno się osiedlać w Paranie i przytem wymienia, jak gdyby dla postrachu, *różnojęzyczną* kolonję Erechim w stanie Rio-Grande do Sul, jako miejsce dla królewiaków, gdy przeciwnie wiele rodzin z Biłgorajskiego, Zamojskiego, Janowskiego, Makow-

skiego powiatów bez najmniejszych przeszkód przyjechało na koszt rządu i osiedliło się i osiedla w Paranie.

3-o Dlaczego nawet Krakowianom, udającym się do niego po wskazówki, udziela ich błędnie i niedbale, a gdy go pytają, gdzie należy lądować, chcąc jechać do Parany, p. Józef Okołowicz odpowiada: „Wysiądziecie panowie w Rio, obejrzycie miasto, a ztamtąd koleją pojedziecie do Kurytyby” i to się mówi ludziom, którzy zaledwie mają na przejazd, a przecież p. J. Okołowicz dyrektor Polskiego Tow. Emigr. jako *znający* Brazylję powinien wiedzieć: a) że koszta przejazdu koleją z Rio do Kurytyby wynoszą tylė, co i przejazd okrętem z Tryjestru do Rio, b) że każdy cudzoziemiec czy to żonaty czy kawaler bez względu na to jak i skąd przyjedzie, gdy oświadczy, że jest emigrantem dostaje gościnę na Wyspie Kwiatów we wzorowo urządzonych barakach emigracyjnych i darmo przejazd do stanu, który sobie obierze.

4-o Dlaczego urzędnik p. Józefa Okołowicza, dyrektora Polskiego Tow. Emigr. w Krakowie chcącym jechać do Brazylji, radzi kupować bilety do Buenos-Aires w Argentynie, mówiąc, że po drodze wysiądą gdzie zechcą.

5-o Dlaczego p. Józef Okołowicz redaktor *Pol. Przeg. Emigr.* pisał w owym piśmie o powstaniu na terytorjum spornym Parany nowego stanu Missaes z przeważającą ludnością polską, narażając nas *tylko na śmieszność*, kiedy terytoryum sporne Parany, mające 100 tysięcy mieszkańców, ma zaledwie 4 do 5 tysięcy Polaków.

By otrzymać wolny przejazd do Brazylji bez względu na to *zkąd się pochodzi* wystarczy napisać do Hamburga Banhofstrasse 6 Morawetz lub do Paryża do Misji brazylijskiej Dr. Santos, Boulevard des Italiens 28, nadmieniając, że się chce osiedlić na roli w Brazylji (rolnikom chętniej dają przejazd niż nie rolnikom), wymieniając liczbę osób dorosłych i dzieci, a bilet wolnej przeprawy się otrzyma, przytem żadnych dowodów, że się jest rolnikiem, nie potrzeba, jak również po przyjeździe można się osiedlić na roli lub nie. Przymusu co do tego żadnego niema. Kosztów przeprawy nigdy się nie zwraca. Osiedlający się na roli otrzymuje 25 hektarów ziemi oraz zapomogę do pierwszych zbiorów. Nieosiedlający się na roli zapomogi nie otrzymują.

Ponieważ Brazylja jest wogóle bardzo mało zaludnioną, więc każdy stan stara się zwerbować w Rio emigrantów dla siebie, ale przymusu niema żadnego i absolutnie każdego wychodźcę wiozą tam, dokąd chce być zawiezionym. Nie powinni więc nasi emigranci ani ulegać namowom, ani się bać rozmaitych postrachów, a tylko wyraźnie *żądać, by ich wieźli do Parany.* Ale wracam jeszcze do „kłopotów”, których autor nie może się zdecydować: „czy popierać wychodźtwo brazylijskie czy mu przeciwdziałać”. Doprawdy, że trzeba być polakiem mądrym po szkodzie, by teraz nad tą sprawą myśleć. Bodaj to Niemcy! Oni należycie ocenili Brazylję, to też się do niej garną i z Ameryki Północnej, sprzedając tam farmy, i z Rosji i osiedlają przeważnie w Stanie Rio-Grande-do-Sul, a przecież Parana od tego stanu nie jest gorsza. Czyżby nam Polakom *wszędzie* było lepiej niż Niemcom, że mamy przeciwdziałać emigracji do Brazylji? O ileż rozumniejsi są od nas Rusini. Oni już kształcą w akademji handlowej w Hamburgu pp. Haszczyńskiego i Gutkowskiego, by w przyszłości wziąść w ręcę handel w Paranie.

Brazil, Parana, Araukarja. *Ks. Józef Anusz.*

„Lutosławskjada”.[1]

(Dokończenie).

Mianem Lutosławskjady ogarniamy nietylko szerzenie chorych pomysłów i aberracji p. L-go ale i propagandę wszelkich pokrewnych kierunków okultyzmu, ezoteryzmu i t. p., które często po sekciarsku kłócą się ze sobą zapamiętale o subtelne drobiazgi, w głównych jednak zarysach operują jednakowymi wyobrażeniami i zasadami. To też traktować je będziemy jako wspólnotę i mniej więcej jednolitą całość.

Za typowego przedstawiciela owej całości posłużyć nam może Mulford, którego dzieła w polskich przekładach tak usilnie są rozpowszechniane przez księgarskich wydawców. Obie książki p. Mulforda („Przeciw śmierci” i „Niewyzyskane siły życia”) w Ameryce zapewne nie mają innego celu, jak torowanie autorowi drogi do karjery przełożonego sekty lub zgrupowania koło niego nowej wyznaniowej gminy. Wszystko, co pisze p. Mulford, nie jest napisanym z przekonania, lecz z wyrachowania. Nie idzie mu o przekonywanie siebie lub kogobądź, lecz o zarzucenie wędki na amerykańskich snobów, których psychologję doskonale zna i na której spekuluje.

Ażeby się nie narazić wszechmocnemu amerykańskiemu kapitalizmowi, pozornie go zwalcza, ostrząc dowcip na dziesięciorzędnych drobiazgowych wadliwościach tamtejszego życia kapitalistycznego, dyskretnie zaś zamyka oczy na kapitalne grzechy tego życia. Tylko z tego stanowiska rozpatrywane brednie p. Mulforda nabierają charakteru inteligentnej roboty. Tym właśnie się różni amerykański autor od p. Lutosławskiego, że z wyrachowania udaje głupiego, gdy tymczasem p. L. z rozstroju nerwowego poważnie, gorąco i szczerze zgłupiał.

Ażeby, broń Boże, nie zgromadzić koło siebie ludzi inteligentnych, umysłowo wyrobionych, nad którymi byłoby ambarasownym przewodzić, p. Mulford w swej książce usiłuje być naiwniejszym, niż jest w rzeczywistości i tylko tyle stara się wykazywać rozsądku, ile potrzeba dla zwabienia ludzi o poziomie umysłowym, pożądanym dla wabiącego. Ażeby ściągnąć malkontentów, udaje, że niby zwalcza współczesną cywilizację a właściwie zwalcza tylko takie fraszki, jak zbyt pośpieszne jedzenie obiadu, pośpiech w załatwianiu interesów, oddawanie się złemu humorowi i t. p. fatałaszki obyczajowe. Ażeby zgrupować koło siebie desperatów, kreśli on obraz optymistycznego ustroju życia, posunięty aż do absurdu i zapewnia o tyleż tanich i łatwych, ile i bezskutecznych środkach zaradczych przeciw niedolom, trapiącym społeczeństwo.

Pana Mulforda i jego ideowych krewniaków wyróżnia jakaś osobliwa arogancja naukowa. Nie czuje się on wcale w obowiązku uzasadnić i dowieść swego światopoglądu a narzuca go metodą dziennikarską, metodą kupieckiej reklamy. Polega ona na powtarzaniu, zapewnianiu i zachwalaniu przeznaczonych do narzucania tez po niezliczoną ilość razy, aż do znużenia. Jest to rozumie się, metoda wypróbowana i niezawodna i tą drogą zakorzeniają się wszelkie kłamstwa religijne, polityczne, etyczne i t. p. Pewność siebie i zimna krew, z jaką p. Mulford wygłasza brednie, natrafia się tylko u amerykańskiego geszefciarza. Chcąc je wszystkie wyświetlić i omówić, trzeba byłoby przynajmniej dwie książki napisać. To też ograniczymy się do wystawienia na światło dzienne kilku z tych bredni na chybił trafił jako próbek czelności. Według historjozofji p. Mulforda, upadek Napoleona i jego wielkich planów był wynikiem tego, że porzucił Józefinę i przejął się niższym duchem swej drugiej żony, austryjaczki. Wiadomość tę zdumiewającą p. M. zaczerpnął z *wiedzy nieskończonej.* Pan M.

[1]) Patrz Nr. 3.

grzebie się we wszelkich niewidzialnościach, nieświadomościach, tajemniczościach, nieskończonościach z równą łatwością jak w piasku i szafuje nimi jak cegłą. W innym miejscu p. M. oznajmia z dobrą miną, że szaty mogą wypoczywać jak ustroje i są myślowo-przenikalne. W innym znów miejscu dowiadujemy się od tego opatrznościowego męża, że cygaro generała Granta wygrało więcej bitew, niż jego miecz. Z niegorszą pewnością siebie p. M. wygłasza takie zapatrywanie: „Jeżeli pewna grupa ludzi rozmawia o zjawiskach chorobliwych, o przyczynach śmierci, agonjach, scenach śmiertelnych, gdy pielęgnuje w ten sposób trupi przedsmak grozy i przygnębienia, wtedy zwraca ona na siebie cały potok podobnych wyobrażeń, potok, który w końcu sprowadzi nieomylnie chorobę i cierpienie w jakiejkolwiek formie". Gdy wziąć na serjo to, co w powyższaj cytacie głosi p. M., to aule i kliniki fakultetów medycznych powinny by przedstawiać coś w rodzaju morgi, zasłanej trupami profesorów i studentów, skoro są całkowicie i prawie nieustannie pochłonięci rozpoznawaniem i badaniem przeróżnych śmiertelnych i uleczalnych chorób. Rzeczywistość oczywiście obalając wniosek bezpośredni, obala i samą tezę. Wymagającym czytelnikom zacytujemy i taki jeszcze kwiatek ze skarbca złotych myśli pana Mulforda, jak ten np. „Najzdrowszy chleb, spożywany w goryczy, działa na krew jak trucizna". Rozumie się, że cały świadomy proletarjat, o ile jest wrażliwy na zachodzące wkoło niego fakty, spożywa „w goryczy" swój chleb codzienny, ale bynajmniej ten chleb nie działa, jak trucizna.

Z kolei rzeczy na zakończenie musimy przyjrzeć się tej filozofji i temu światopoglądowi, który stanowi osnowę jego głębokich myśli. Choć nie sformułowany jasno przez szarlatanów, kojących bóle i grzechy świata, daje się on wyłowić z poszczególnych ustępów ich traktatów. Autorom chodzi niezawodnie o osiągnięcie wyników i twierdzeń mistycznych religji, za pomocą pseudo-naukowych i pseudo-pozytywistycznych wywodów. To też odbywa się kąpiel w jakimś ordynarnym materjalizmie filozoficznym, od którego sumienna wiedza, mająca poczucie odpowiedzialności, odżegnywa się całkiem. Ten neomistycyzm, przyprawiony w sosie pozytywistycznym jest ciekawym objawem filozoficznego merkantylizmu. Oto skład apostolski owej filozofji. Ciało—materja i „duch" są to dwa byty samodzielne, które łączy nie inny stosunek jak tylko ten, że duch ma zupełną dyktaturę nad ciałem a ciało jest bezwzględnym niewolnikiem ducha-tyrana; moc owego ducha, idzie tak daleko, że potrafi on nawet *dematerjalizować* ciało (?!) Myśl bytuje *na zewnątrz ciała* i przedstawia sobą wibrację i falowanie subtelnego fluidu, wypełniającego przestworza tak, że człowiek pogrążony jest w Oceanie fal myślowych. Fale te, przenikając do człowieka, wzbudzają w nim myśl, wolę i czyny. Dzięki wielkiej subtelności owego fluidu i dzięki temu, że wypełnia on przestworza, może on być przewodnikiem poruszeń, myśli i woli między jednostkami, znacznie oddalonymi od siebie tak, jak powietrze jest nosicielem i przewodnikiem dla fal elektrycznych Hertza, ujawnionych przez czułe rurki Kocherera w telegrafji bez drutu. Fale myślowe mają podlegać prawu interferencji, odbijania się i t. p., jak fale świetlne lub dźwiękowe. W tych samych widokach i z tych samych względów co kler, p. M. nie zaleca mozolić się zdobywaniem wiedzy, która mu nie jest na rękę.

Kagańce i obroże, sfabrykowane przez p. M-da, którymi amerykańska plutokracja z przyjemnością trzymałaby na smyczy malkontentów jej kultury muszą być dla niepoznania pomalowane na inny kolor, niż dotychczas znane kagańce i obroże religijne. I p. Mulford, jak ów dobry proboszcz, według francuskiego przysłowia, chce być więcej wart, niż 10 żandarmów.

Z tych względów p. M. nie operuje pojęciem Boga. Zamiast niego, operuje on pojęciem „świadomości nieskończonej", o której naturalnie nic jasnego i przekonywującego p. M. nie mówi. Środki, sprzyjające udzieleniu się „świadomości nieskończonej" są to milczące modlitwy, marzenie, obcowanie i przebywanie pośród ludzi, odpowiadających bieżącemu pożądaniu i wiele innych środków, wreszcie namiętna i właściwa spowiedź. Spowiedź jest właściwą wówczas, gdy duchowo spokrewnieni spowiadają się przed sobą t. j. złodziej przed złodziejem, bajronista przed bajronistą i t. d. Pan Mulford nie byłby amerykaninem i nie wiedziałby, do kogo adresuje swe sekciarskie, geszefciarskie manewry, gdyby zaniedbał zamieścić takiego, znamiennego, agitacyjnego frazesu: *Przez spowiedź podnosi się także powodzenie w handlu.* Ruiny majątkowe, od których nadmiernie, bo prawie wszystko zawisło, ruiny fizyczne i duchowe, szerzone przez cywilizację, zdaniem p. M. nie zależą od zasadniczo niemoralnej, obecnej organizacji życia, bo przez to naraziłby się potężnemu winowajcy burżuazji. Woli on w tak drażliwych sprawach wygłaszać pytyjskie orzeczenia; więc oznajmia z powagą, że „nieszczęście jest zawsze winą lub brakiem rozumu" nie wiadomo tylko, czyją winą i czyim brakiem rozumu. Oczywiście, że tak samo jak religje, sprzedają się za panacea na wszelkie bóle doczesnego i przyszłego życia i w tym sensie usiłują oczarować, zwabić i omamić wyznawców, tak samo i p. M-rd obiecuje swoim niedoszłym wyznawcom najtańsze i najniezawodniejsze leki.

Gdyby brać na serjo wszystkie brednie p. M-rda, to z jego teorji np. wynikałoby, że histerja kobiet nie jest wcale właściwością ich ustroju, gdyż histerja tkwi w postaci odpowiednich fal poza kobietą, a kobieta je tylko wchłania i reflektuje. Ponieważ nie bierzemy na serjo bredni p. M., przeto pominiemy wszelki krytyczny rozbiór jego twierdzeń a poprzednie parę słów rozważania rzuciliśmy tylko mimochodem na próbę.

Panowie okultyści, udając mądrych, lubią pod adresem swych urojonych nieprzyjaciół wygłaszać tanie, same przez się zrozumiałe, prawdy, nie przez nich, lecz przez tych niby—wrogów sformułowane; w guście takich np. „niema potrzeby znać anatomję mięśni i kości, ażeby móc chodzić", albo „niema potrzeby znać istotę siły, by móc badać tę siłę". Mając głowę zaprzątniętą tymi tanimi prawdami, lubią popełniać błędy logiczne, gdy analogjom przypisują zbyt wielką siłę dowodową, lub gdy zapominają, że współczesność nie jest dowodem współzależności zjawisk.

Już Leonardo da Vinci o współczesnych mu alchemikach wyraził się: „Alchemja, czarna magja i wszystkie nauki, nieoparte na ścisłych doświadczeniach i matematyce, to są bajki i banialuki i rozdęta wiatrem flaga szarlatanów, za którą podążają tłumy ogłupionej gawiedzi". Dziś powyższe słowa Leonarda da Vinci są tym bardziej słuszne. *Szpon.*

KRYTYKA LITERACKA i ARTYSTYCZNA

Pamięci Antoniego Szandlerowskiego.

B. Herbaczewski: **Słowo pożegnalne nad grobem autora „Parakleta".** [1]

Życie i śmierć ks. Szandlerowskiego stają się nowym, bolesnym świadectwem brutalnego barbarzyństwa kleru. Gdy żył, tłumiono bujny jego talent

[1]) Dochód ze sprzedaży broszury przeznacza się na postawienie głazu nad mogiłą zmarłego poety.

całą przemocą środków inkwizycyjnych, podcinano z zimnym okrucieństwem młode pióra jego śmiałych, do prometejskiego lotu przeznaczonych, skrzydeł; gdy umarł, zwłoki jego z niecierpliwym pośpiechem grzebano w ziemi, a mogiłę otoczono zazdrosnym milczeniem, jakby w obawie przed wybuchem groźnego lamentu i skargi ze zbolałej duszy tych, którzy umieją dziś jeszcze kochać piękno bezinteresownych dążeń i czcić poezję walki.

Jakimż bo gromowym akordem walki i buntu musiały uderzać w zbutwiałe próchno martwoty kościelnej te ogniste groty natchnienia:

Ani mię tajnych ścieżek bronne wrzeciądze
Wstrzymają w pędzie! ni nad rzeźwym źródłem
Nie złożę głowy — upalonej żarem!...
Idę o pełni srebrnej i o nowiu,
I w noc zdreszczoną i w słońca złotowiu —
KRÓL-PTAK! zwabiony poduiebnym rozgwarem
Duchów wieszczących w wróżbnym złotogłowiu!...
Idę...
A że wolności spragnion — bucham lawą!...
Skrzydłem płomiennym huragan doścignm,
Dławię go w piorun!...
Zwycięztwem zastygam. .
I znowu szukam — znów krzyż tęskny dźwigam ..

W puściźnie młodego poety spotykamy strofy, będące rozpaczliwym przeciwstawieniem się wandalskiej armji czarnego bractwa, które w postaci nieubłaganej hierarchji dławiło go z góry, a w postaci nienawistnego współkoleżeństwa ściągało w dół na trzęsawisko zgiełkliwych intryg zawodu:

Kto mię chce sądzić? Azali te czernie
Których wzrok płazny rozewrzeć się wzbrania?!
A jeśli patrzy w słońce, to je kala,
A jeśli w noc, to świętość jej bezcześci;
Jakimż mi smutkiem bór w duszę szeleści,
Jak często skarży mi się morska fala,
O, jakżeż często promień mi się żali
Na ich pełz gadny, na pazur szakali...

. . . .

Wam to... wam, ludzie bez serc i bez czucia —
Mam tajnię ducha mojego spowiadać?!
Wleczcie mnie na stos!...

Odwieczna tragedja Człowieka, pętanego przez nienawiść istot małych, dusz przyziemnych i ślepych! Jakoby przeczuwając bliską śmierć swą, śmierć tak tragiczną wobec tych potęg światła, które znikną wraz z życiem poety, i wobec tych ogromów mroku, jakie zawisną nam na oczach wówczas, gdy uświadomimy sobie wielkość duszy, która nas odeszła, poeta jakoby ów tragiczny zgon swój widząc we śnie, z niewysłowioną prostotą, tłumiąc ból, śpiewa jeszcze hymn wolnego ducha i poza grobem jeszcze żąda poszanowania dla swej niepodległości, dla swej dumnej i samotnej duszy:

„Na grobu mego zimny głaz
Rzućcie uwiędłą białą kiść...
I samotnemu zwólcie iść
W kraj mych wyśnionych cudnych kras...

Na grobu mego zimny głaz
Nie stawcie krzyża! Bo wasz krzyż
Nie wznosi ducha mego wwyż,
Bo nie jest z Chrysta, jedno z was!

Ale... na grobu mego głaz
Rzućcie zbłoconą zwiędłą kiść...
Albo dębowy suchy liść,
Którym odwieczny wzgardził las..."

„Polska ziemia — czytamy w końcowym ustępie *Słowa pożegnalnego* p. Herb. — niema laurów, aby skronie synów wybranych stroić w jasne wieńce... Ale na grobu Twego zimny głaz, miasto kwiatów i laurów, łzy gorzkie lać się będą, łzy wiernych wyznawców w tęczach i błękitach skąpanego Piękna..." Tych, przejętych czcią i żalem, słów nie pozwolono wygłosić p. H. nad grobem jego kolegi i towarzysza „młodych, górnych lat"—z powodu nadmiernej ich wolnomyślności. Kler, zgnębiwszy naprzód człowieka, pragnie dziś po śmierci zgnębić jego pamięć.

Jan Tarczewski.

Bohowityn: **Czarnemi czcionkami.** Kraków. 1908.

Rok 1905 w twórczości polskiej, zapisał się istotnie — czarnymi czcionkami. W życiu był fatalny, w literaturze odegrał hańbiącą rolę sensacji. Nietylko bowiem pisarze *minorum gentium*, fabrykujący powieścidła dla brukowych pism — ale i ci „renomowani" i „wybitni" jak to się mówi na czarnych kawach, uważali sobie za obowiązek, przynajmniej jedną książkę napisać o „rewolucji".

O wartości tych dzieł można mówić rozmaicie — jedno natomiast jest pewnością, że aktualność jest największym nieprzyjacielem tego, co przywykamy uważać za najwyższą wartość w sztuce. Rzecz naturalna, że i tu jak zawsze, siła talentu autora decydowała przedewszystkim, szkoda jednak, że nie wszyscy rozporządzać nią byli w możności i dlatego otrzymaliśmy od roku 1905 bardzo wiele utworów, pisanych... do niedzielnych dodatków, o których niestety, nie wiele dobrego można powiedzieć!

Z prawdziwą radością należy zaznaczyć, że ta fatalna uwaga nie stosuje się do utworów Bohowityna. Rzecz naturalna, że gdyby do tych historji stosować abstrakcyjną miarę wielkiej poezji, albo poprostu wielkiej sztuki, co brzmi bardziej zrozumiale dla autorki *nowel* — musielibyśmy, o ile sądzić mogę, w najlepszym razie, porządnie się zarumienić. My, to znaczy — autorka, ja i wydawca. Naturalnie, temu ostatniemu przyszłoby to z wielką trudnością — bo pewien gatunek zajęcia wytwarza amoralność.

Lecz nie mam najmniejszego zamiaru wprowadzać autorkę w sytuację tak drażliwą. Przedewszystkiem nie byłoby to w gruncie rzeczy sprawiedliwe. Będąc daleki od zachwytów nad utworami Bohowityna, nie mogę (jak zresztą każdy) nie przyznać jej talentu, a to decyduje, aby między nią a barbarzyńskimi legjonami grafomanek (typu panny Mniszkówny) zaznaczyć nieobaloną różnicę. Wreszcie czarnymi czcionkami wydrukowana jest nowela p t. „Za Chimerą szczęścia". Jest to utwór najlepszy z tego tomu i posiada wartości niezaprzeczone. Chciałbym jednak zaznaczyć, że po andrejewowsku pomyślana nowela zakończona jest nad wyraz lekkomyślnie. Ale jakże byłbym zmartwiony, gdyby kto w niedelikatności swojej przypuszczał, że „udzielam rady" autorce. Na to musiałbym się jeszcze raz urodzić — a to nie byłoby przyjemne. Poprostu nędzne zakończenie tego utworu nie odpowiada jego wysokiej skali. Ta biedna nauczycielka, która aby osiągnąć 1,500 rubli (kapitał wypieszczony w snach staro-dziewiczych) zapisuje do kasy pogrzebowej Bogu ducha winną staruszkę i czyha na jej śmierć, jest postacią bardzo ciekawie pomyślaną. Bo chcąc zrozumieć tragizm sytuacji, trzeba jeszcze poznać poczciwą Jaworską. Siwowłosa staruszka jest już wprawdzie porządnie zgrzybiała, ale lekarze rokują jej jeszcze długie lata żywota i to na zasadzie osobliwie silnego organizmu.

Co za fatalność! I to właśnie jest powodem nieszczęścia równie poczciwej nauczycielki, która w tych umiłowanych, upragnionych 1,500 rublach, widzi swoją *niezależność*.

Szkoda, że ta doskonała sytuacja, kończy się właściwie na niczem. Bo Jaworska żyje — a nauczy-

cielka... też żyje... Jakiż jest zatem rezultat tego wszystkiego?... Może nam autorka o tem jeszcze coś powie, ale chyba już w drugiej noweli — tymczasem równie niedorzecznie kończy, równie dobrze pomyślaną nowele p. t. „Zmora" — wogóle w całym tonie uderza pewna destrukcyjność — i brak rzeczywistego panowania nad tematem. Widać to najwyraźniej w barbarzyńskiej niemal prymitywności noweli p. t. „Te i tamte". Przepołowiona, służy do wyrażenia niechęci autorki — względem kabotynizmu lekarskiego— i dzieli się w śmieszny sposób, na dwie części. Nie mniej jednak, cały zbiór tych utworów, istnieje na pewnej skali wymagań smaku estetycznego i posiada niezaprzeczone walory literackie. Wreszcie stosunek autorki do życia, zupełnie szlachetny i nie wątpliwy talent polecają te utwory w sposób, co najmniej — dostateczny.

St. Kiedrzyński.

Marja Konopnicka: **Italja**, wydanie drugie, 1911.

Są wyrazy, które pod piórem poety roztapiają się w muzykę, są inne, które tężeją w kamienne i nieme posągi. Niekiedy zaś, ponad nimi, w przedziwnej syntezie harmonji, rozkwitają niesłychanie rzadko słowa jeszcze inne: obrazy i słowa, będące zarówno śpiewem jak rzeźbą — rzekłbyś: posągi śpiewające. Są jak pieśń, co płynąc z konchy oceanowej, zastyga w sen marmuru.

Takim wyrazem, opieśnionym melodją serca a silnym twardością marmuru, jest „Italja" w poezji Marji Konopnickiej.

Pali się łuną zachodnich zórz
Nieba i ziemi skraj..!
— Echo gdzieś płynie zza gór, zza mórz —
„...Znasz-li ten kraj?"...

„Italja" stała się dla wieszczów polskich jakoby hasłem tejemnym, które, wiodąc w sławę, otwiera przed nimi drzwi nieśmiertelności. Już przed wieki wawrzyny włoskie oplatały natchnione czoła Janickich i Sarbiewskich. Czar ziemi włoskiej zapadł najgłębiej w duszę i pamięc Krasińskiego. Pod niebem włoskim czuł, marzył i śpiewał Słowacki. Przez włoskie lazury leciał strzałą „duch Mickiewicza napięty piorunowym łukiem natchnienia".

Wszyscy oni ukochali Włochy za bogatą wymowę ich klasycznego piękna, za ich dziedzictwo wiekowej spuścizny. Konopnicka zna również i ocenia wartość estetycznej tradycji tego kraju, który niegdyś był ojczyzną cezarów, a później stać się miał ojczyzną genjuszy. Jakże nie miała odczuć jego piękna i rozkoszy, skoro po raz pierwszy odetchnęła w nim swobodnie i radośnie! Italja przywitała ją jak własną córę. Poetka stykając się z arcydziełami mistrzów odnalazła samą siebie we własnym artystycznym jestestwie. Ale prócz prastarej wartości estetycznej Italja posiada dla pieśniarki polskiej urok nowy, najściślej związany z losami naszych dni dzisiejszych. Turkosowe nieba Włoch, szafiry jezior i olbrzymie granaty ich mórz, stają się przed oczyma Konopnickiej zwierciadłami, w których w swej fatalnej grozie odbija się smutek doli polskiej.

Italjo! Dzień kochankiem pośpiesza do ciebie.
Na ogromnych twych wodach, na szerokim niebie,
Skrzydlate słońce twoje nie wschodzi, lecz wzlata!

Ale ja z krain idę, kędy na dniu progu
Świt, we łzach cały, długo wyprasza się bogu,
By mu patrzeć nie kazał na stary ból świata.

Konopnicka, na ziemi ojczystej, szła przez rozłogi niedoli, we łzach, w udręce. Na dnie wszelkich uciech i radości znajdowała, smak gorzki i słony, bo mieszały się do nich ustawicznie łzy jej własne i łzy, które zbierała z oczu swego ludu. Miljonowy płacz cierpienia szedł za nią i ścigał ją wszędzie. Gdy uniesiona żalem lub rozpaczą, miotała klątwy i błyskawice gniewu, to rozświecały się one jak pioruny w sinej chmurze łez. Błądziła w kraju śród ubogich chat wiejskich. Dawała głos rzeczom opuszczonym i niemym, sercom sierocym i biednym, ujarzmionym przez ucisk, nędzę, upośledzenie.

We Włoszech rozwarł się przed poetką świat wolny, uśmiechnięty, pełen błękitu i światła, kraj radości twórczej. W jej oczy, łzami zamglone, wejrzało upalne, złote słońce sztuki. Tryumf zdobywczej mocy ludzkiego ramienia i ludzkiego ducha promieniem ożywczej pobudki dobył z istoty jej ukrytą niebywałą dotąd miarę potęgi, ale nie stłumił w sercu krwawiącego się jęku dalekich pól ojczyzny. Ciężki uporczywy smutek pozostał w jej duszy śród przepychów obcych, stanowiąc milczące, głębokie tło jej najwspanialszych przeżyć i wizji. Posępnym chłodnym cieniem zawisł on nad jej twórczością w „Italji" jako surowe o świcie mgły, na których strzały słoneczne malują brawurą ognistych barw tryumf zwycięzkiego światła.

W chwilach wieczornej zadumy, kiedy mrok uciszy wymowę kolorów, kiedy noc zwolna pogrąża w niebyt świat materjalny, a wydźwiga i przybliża ku oczom świat ducha, musiała sercem poetki owładać tęsknota, z ciszy dalekiej idąca. Na stopniach Colosseum, śród lasu białych na poły pokruszonych kolumn, albo gdzieś na Monte Pincio, lub w cudnym porcie Darseny, poczną śnić się jej nagle siwe pochylone wierzby, a na usta szeptem mimowiednym wybiegną słowa żalu, ciche jak lot serca ku dalekiej ukochanej stronie:

Wierzbo moja, płaczko moja,
Wspólne nasze łzy!
U jednego tęsknot zdroja
Stoim, ja i ty...

. . . .

Jedno po nas też zostanie,
Gdy się skończym już:
Fujarkowe, ciche granie,
W echach pól i dusz!

W. R.

NA DOBIE.

Błędną drogą.

Niema chyba lojalniejszych Polaków, jak w zaborze pruskim. W odpowiedzi na wszystkie zakazy językowe, wywłaszczenia, tysiączne i różnorodne prześladowania rządu pruskiego — stoją oni w pokorze „u wrót rządowych", jak to trafnie nazwał pan hrabia Mielżyński. I nie tylko stoją, lecz — cokolwiek uczyni rząd — stać będą, gdyż opuściwszy tę pozycję byliby zmuszeni do „bratania się" z ruchem przewrotowym niemieckim, co, jak twierdzi poseł - jezuita Franciszek Morawski, „jest więcej, niż niebezpiecznym, jest wprost zabójczym dla naszego społeczeństwa".

Tak uczą luminarze poznańscy, posłowie, mandatarjusze, wybrani przez lud... Feodalnie-biurokratyczny rząd pruski może bić bezkarnie Polaków, gdyż ci obiecują mu uległość na dziś i na jutro.

Straszne są skutki konserwatyzmu, a nigdzie nie są tak straszne, jak w Polsce! Jasną jest rzeczą, że żywioły reprezentowane przez dzisiejszy rząd pruski nigdy nie przestaną gnębić Polaków. Gdyby ich nie było, wymyśliliby ich sobie. Żadne pokorne pukania do serc tych żywiołów nie tylko na nic się nie zdadzą, lecz — przeciwnie — rozzuchwalą gnębicieli, przeko-

nają ich bowiem, że złamali opornych. Jasną też jest rzeczą, że żywioły wolnomyślno-socjalistyczne z chwilą dojścia do władzy nie będą ani mogły, ani chciały prześladować Polaków. Jedyny więc sposób wyjścia z sytuacji dla Polaków jest właśnie „bratanie się z przewrotowym ruchem niemieckim", tak, jak Irlandczycy, nawet konserwatywni, zawsze „bratali się" z liberałami angielskimi i tak, jak Polacy nawet najwsteczniejsi klaskali w dłonie, gdy w r. 1848-ym demokratyczny tłum rewolucyjny wypuszczał z więzień berlińskich polskich „przestępców" politycznych.

Kto chce działać w interesie polskości, ten musi iść ręka w rękę z wolnościowymi żywiołami narodów zaborczych. Jeżeli jest konserwatystą, to swój konserwatyzm musi zostawić na użytek domowy, ale o ile wiezie go do Petersburga lub do Berlina — siłą rzeczy szkodę krajowi przynosi. Nasi neo-targowiczanie powinni sobie zapamiętać lekcję, jaką im dał przed wiekami kardynał katolicki Richelieu. który stojąc na czele Francji, w domu tępił heretyków, ale w Niemczech popierał protestantów, żeby osłabić potęgę katolickich Habsburgów, współzawodniczących z Francją.

Stojąc u wrót rządowych nasi „ojcowie narodu" nietylko nic nie wypukają dla Polski, ale również i nie uchronią jej od „wprost zabójczych" ruchów przewrotowych. Mogą być zupełnie pewni i zupełnie spokojni o to, że my im uniemożliwimy to ochranianie Polski od „wprost zabójczych" ruchów; — zresztą nie sami, zawsze znajdziemy cennych, choć mimowolnych, współpracowników: Puzynów, Macochów i innych. Na żadną pomoc zagraniczną w tej mierze najzupełniej nie liczymy. „Bratanie się" naszych posłów w Berlinie i Petersburgu z „przewrotowcami" niemieckimi i rosyjskimi jest niezbędne w interesie całego narodu polskiego, — lecz poostępowi polskiemu pomoże ono tylko w tym stopniu, o i całemu narodowi, tak, jak „stanie u wrót" rządowych tylko w tym stopniu mu przeszkadza.

Nie ma innej rady, konserwatyzm polski musi wybierać. Albo będzie pukał do szczelnie zamkniętych dla nas drzwi dzisiejszych rządów biurokratycznych, wywołując widma Targowicy i Rydzyny i staczając się coraz głębiej w otchłań upodlenia, — albo, pozostając sobą w domu, w Berlinie i Petersburgu będzie „bratać się" z „przewrotowcami", i w ten sposób częściowo działać w interesie wolności wogóle, a całkowicie — w interesie wolności Polski.

Czy tylko konserwatyści polscy potrafią postawić interes ogólno-narodowy wyżej ponad swoje interesy klasowe? Oto pytanie...

Refleksje paryskie.

Zwracaliśmy nieraz uwagę, jako na objaw dziwnego zboczenia, że większość opinji naszej szukać zwykła orędowników polskości we Francji w kołach zachowawczo klerykalnej opozycji, a nawet na skrajnej prawicy monarchicznej. Przyczynia się do tego — obok ślepej rutyny — nierozerwalna, zdaniem wielu, spójnia, a nawet tożsamość sprawy polskiej i sprawy katolickiej, a następnie — żywiołowa odraza miarodajnych naszych sfer do republikańskiej „hołoty", która jest znów miarodajną w Europie Zachodniej.

Skutkiem tak niefortunnie kierowanych zabiegów Francja postępowa nieomal straciła z nami kontakt, zaś opozycja wsteczna posługuje się imieniem Polski dla celów koteryjnych, niemających nic wspólnego z naszymi interesami.

Zachowanie się tych sfer w sprawie wyboru p. Curie-Skłodowskiej do Akademji, powinno wpłynąć radykalnie na kierunek naszych sympatji nad Sekwaną.

Cała bez wyjątku prawica, od nacjonalistów do „kamlotów królewskich", z bezwzględnością wprost niebywałą wystąpiła przeciw naszej rodaczce, wytaczając zarzut potrójny: że jest 1) kobietą, 2) wolną myślicielką, 3) cudzoziemką... Aby zaś efekt pogłębić, nie zawahano się przypisać p. Skłodowskiej pochodzenia... żydowskiego, co ma być kulminacyjnym punktem radykalizmu i obcości.

Wybory odbyły się w nastroju tak mało „akademickim" i tak wybitnie... ulicznym, że pozostał po nich pewien niesmak i pewne jakby zawstydzenie, przynajmniej w kołach poważnej opinji.

Natomiast na prawicy rozlegały się wrzaski trjumfu, głuszone wysokim dyszkantem antysemickiej *La Libre Parole*. E. Drumont, który sam w roku zeszłym kandydował do rzędu „nieśmiertelnych", przyczynił się teraz niemało do porażki „radykalnej żydówki", na miejsce której wybrano zachowawcę i klerykała prof. Branly, faworyta całej potężnej koterji przedmieścia *Germain* i bazyliki *Sacré Coeur*...

Przekonani jesteśmy, że czarne to bractwo niedługo będzie trjumfować. Jeśli Instytut Francuski ma być świątynią wiedzy to niema w nim miejsca dla bożków plemienno wyznaniowych, dla ducha parafjańskiej animozji.

Pani Skłodowska ma lat 45. Branly o 20 lat starszy, kandydując po raz trzeci, przeszedł w drugim głosowaniu większością tylko 2 głosów.

Wybór p. Curie-Skłodowskiej, wobec tego, nie ulega żadnej wątpliwości, skoro tylko nadarzy się sposobność.

Dla kultury wszechludzkiej będzie to dzień szczytnego trjumfu, kiedy pod kopułą Instytutu stanie poraz pierwszy kobieta; i będzie to zarazem dzień chluby imienia polskiego i dzień świetnego odwetu Polki samodzielnej i wolnomyślnej przeciw apoteozowanej tak bezmyślnie Polce typu Maryni Połanieckiej.

Jak to nazwać?

Wspominaliśmy niedawno, że *Hazman*, wzywając do bojkotu polskich kooperatyw, zaznaczył z naciskiem, że nie zwraca się z tym „do różnych Natansonów" t. j. do żydów spolszczonych, światłych i kulturalnych.

To zastrzeżenie wydało się nam bardzo na miejscu, to też z niemałym zdziwieniem dowiadujemy się z pism ,że p. Edward Natanson, acz niepowołany do zaciągów *Hazmana*, stanął w szeregu, jako ochotnik, niosąc ważki sukurs wrogom stowarzyszeń współdzielczych...

Rzecz się tak miała. Robotnicy fabryki w Jeziornie, będącej własnością pp. Natansonów, założyli piekarnię współdzielczą, która niebawem zyskała chętnych odbiorców w okolicy, dzięki dobroci i taniości pieczywa.

Urażeni tą niemiłą konkurencją, żydzi-piekarze z Jeziorny poszli ze skargą na ul. hr. Berga i oto ukazał się dekret z podpisem p. E. Natansona, zakazujący sprzedaży pieczywa poza obręb odbiorców z pośród robotników fabryki.

— Jak to nazwać? pyta powściągliwie jeden z dzienników polskich, przytoczywszy tę wiadomość. Sądzimy, że nazwać to można aktem *antygoizmu wstecznego*; miano uzasadnione i ścisłe, bowiem bezsprzecznie w rozwoju kooperatyw i spółek kredytowych widzą kramarze żydowscy groźny *postępowy antysemityzm.*

Ale zejdźmy z boiska, pełnego wrzawy polemicznej; stańmy na gruncie prostego *humanitaryzmu.* P. E. Natanson, wydając rzeczony dekret, pragnął przyjść z pomocą tym nieszczęsnym nędzarzom, żydom z małego miasteczka, tej dziwnej ekonomicznej formacji, dla której niemasz już miejsca na cywilizowanym świecie.

Rodzi się pytanie, czy taka interwencja może być skuteczną i celową? Toć gdyby czerwonoskórzy in-

djanie przyszli do najmożniejszych filantropów świata ze skargą na ekspansję naszej cywilizacji, która trasą kolei żelaznych i zgiełkiem pługów parowych wypłasza bizony i antylopy ze stepów i puszcz — czy, mimo najlepszych chęci, możnaby było uczynić im zadość?

Trafną analogję między położeniem indjan amerykańskich, a żydowskim kramarstwem w Polsce, przeprowadza p. I. Moszczeńska w świeżo wydanej broszurze, gdzie na str. 74 powiada:

„Współczucie dla tych (czerwonoskórych) ofiar postępu i cywilizacji współczucie, którym każdy z nas w pewnej epoce swego dzieciństwa był gorąco przejęty, nie może nas jednak skłaniać do zrzeczenia się samego postępu i cywilizacji, do zacieśniania sfery pól uprawnych na rzecz kniei. Nie poczuwajmy się też bynajmniej do ustępstw na rzecz ghetta. Nie konserwujmy lichwy przez współczucie dla lichwiarzy, ani pijaństwa dla szynkarzy. Nauka świecka niechaj się nie cofa skromnie od drzwi chederów, sklep spółdzielczy niech nie kapituluje przed żydowskim kramikiem, a gospodarki miejskiej w różnych Szybowach nie oddawajmy w ręce kahałów, bo byłaby stąd równa korzyść dla postępu, jak z zapuszczenia kniei na czarnoziemach kujawskich".

Żargon — językiem „walki".

Kwestja żydowska w nowej swojej fazie nie byłaby tak zabagnioną, gdyby jej gorliwie nie mąciła niesumienna i sprawna demagogja.

O metodach wulgarnych antysemitów nie mamy potrzeby rozwodzić się, bo są one dostatecznie znane; natomiast nacjonalizm żydowski, świeżo z ghetta wykluty, zdążył w krótkim czasie zdumieć świat nietaktem i czelnością swoich wystąpień.

Większość działaczy tego obozu kształciła się w szkole demagogji wiecowej minionego niedawno okresu, a niewielu znajdzie się takich, coby nie rozminęli się z prawdą dla hucznego frazesu i grzmiących po nim oklasków...

Takim frazesem był okrzyk rzucony na zebraniu w Sali Techników: „Język żydowski nie jest językiem niewoli, tylko językiem walki!"

W takiej formie pochlebstwo zawsze trafia do celu; grzmiący aplauz powitał formułę w której mieściło się ściśle 5 proc. prawdy.

Istotnie: nikły ten odsetek wyraża czynnik „walki" t. j. żydowski żywioł robotniczy, który zresztą ostatnimi czasy zdradza skłonność do różnych herezji społecznych; natomiast 80 proc. ludności żydowskiej zajmuje się handlem.

W świetle cyfr jest zatem żargon *językiem handlu par excellence*; jeśli może być tu mowa o „walce", to chyba o walce z... kooperatywą polską i spółkami kredytowemi... Jeśli zaś demagog żydowski twierdzi że żargon jest „językiem walki" przez owe 5 proc., które mają wszystko inne przesłonić i okupić — to z równą słusznością mógłby demagog antysemicki zakrzyknąć, że żargon jest językiem spekulacji, paserstwa, kuplerstwa, oszustwa i handlu żywym towarem, boć dobór tych procederów stanowi w sumie procent niemniejszy.

Osobliwości Warszawy.

Pominąwszy opłakany stan naszego obserwatorjum astronomicznego, które niewiadomo w czyich rękach zeszło do roli stracha na wróble, dosyć powiedzieć, że gród nasz „uniwersytecki" (pardon!), nie posiada wcale nie tylko stacji metereologicznej (we właściwym a nie komicznym słowa tego znaczeniu) ale ani kawałka seismografu!

Przed paru laty jeden z lekarzy wojskowych, ordynujących w szpitalu Ujazdowskim, opowiadał piszącemu te słowa, że niezwłocznie po groźnym trzęsieniu ziemi w Kalabrji i Sycylji, spostrzegł znaczne pęknięcie ściany i sufitu w jednej z sal głównego pawilonu. Zaciekawiony spostrzeżeniem, przypuszczając, nie bez zasady, że pojawienie się rys posiada związek z kataklizmem żywiołowym na południu Włoch, począł nieborak, jako obcy w mieście i kraju, dopytywać się na jakiej ulicy i w jakim gmachu mieści się Warszawska stacja seismograficzna.

Z trudnością dał się przekonać, że Warszawa takiej stacji nie posiada wcale.

— Jakto! Prawie miljonowe miasto! Uniwersytet (pardon!) posiada, politechnikę, kliniki a seismografu nie?!...

Przekonany wreszcie, machnął tylko ręką i mruknął, zdaje się: „czort pobieri!".

Mieczysław Brzeziński.

W końcu ubiegłego tygodnia rozstał się ze światem wybitny pionier ruchu ludowego, ostatnio, redaktor *Zorzy* — Mieczysław Brzeziński. Szlachetny, pełen poświęcenia i zapału entuzjazm tego człowieka, z jakim w latach młodzieńczych oddawał się pracy nad podniesieniem umysłowości w szerokich ciemnych masach, nie pozwoli zagasnąć pamięci jego we wdzięcznym sercu społeczeństwa, pomimo kilku ostatnich przykrych wystąpień jego w duchu sekciarskich interesów endecji. Atoli pracując pod egidą Narodowej Demokracji, Brzeziński umiał w ciasną formułę doktryny tchnąć żywą, szczerą i płomienną miłość, podnieść ją sercem i uszlachetnić bezinteresownością swej służby. *Kurjer Warszawski* nazywa M. Brzezińskiego ostatnim przedstawicielem minionego pokolenia ludzi tęgiej pracy i ofiarnej ręki. Istotnie, ze śmiercią Promyka, ze śmiercią Brzezińskiego zeszli do grobu ostatni ideowi szermierze Nar. Dem.; ci, którzy nastąpili po nich, zatrudnieni są wyłącznie przekuwaniem dawnych wartości społecznych oraz ideowych na bieżącą monetę drobnych, ale doraźnych zysków.

P-wie Dłuski i Sieroszewski.

Obaj ci panowie (mimowoli zapewne) byli smutnymi bohaterami ostatniego tygodnia. Niefortunny list Sieroszewskiego, oskarżający Machajskiego o zdolność dokonania rozboju, jak również fatalny pośpiech d-ra Dłuskiego w alarmowaniu policji Zakopiańskiej, odbiły się bardzo niesmacznym echem w opinji powszechnej. Dotychczas przyzwyczajeni byliśmy do stosowania metod podobnych jedynie ze strony najcięższego kalibru wsteczników przeciwko żywiołom postępowym. „Miej się na baczności — woła p. Sieroszewski — bo do twego domu wszedł anarchista!" Czy nie przypomina to osławionej przed kilkudziesięciu laty formuły ostrzeżenia, używanej w środowisku najpotworniejszego kołtuństwa: „Panowie! socjalista (pozytywista, dekadentysta lub jakikolwiek inny specjalista) zbliżą się: pilnujcie portmonetek!" Rząd hiszpański rozstrzelał Ferrera nie za czyny występne, ale za teorję, z której czyny takie mogły się gdzieś tam zrodzić. Czyżby i p. Sieroszewski chciał pociągnąć ludzi do odpowiedzialności za utajone ich myśli, za teoretyczny ich światopogląd?

Piosenka francuska.

W Niedzielę, 29-go stycznia, w Sali Techników, p. Leon Main miał odczyt po francusku o piosence francuskiej. W piosence najlepiej odzwierciedla się dusza ludu francuskiego, który obok zdolności do poświęceń i bohaterstwa ma duży zasób humoru i ironji. Francuzi mają opinję ludzi lekkich, lekkomyślnych.

Istotnie, woła p. Main, jak lekcy są ci wszyscy bohaterowie oręża, nauki i sztuki, którzy z dziecinną odwagą narażali swoje życie, jak lekcy są ci miljonerzy-awiatorowie, którzy — mogąc pędzić spokojne i próżniacze życie — rozbijają sobie czaszki dla sławy nauki francuskiej i dla postępu cywilizacji. Lekkim jest nie serce francuskie, nie charakter francuski, lecz — umysł!

Burza oklasków pokryła ten ustęp mowy p. Main'a. Francuskie „leger, legereté", które po polsku może oznaczać lekkość, lekkomyślność lub lotność, w stosunku do umysłowości francuskiej ma z pewnością jedno tylko znaczenie: lotność.

Tak samo lotną, a nie lekką, jest piosenka francuska. Wszak niczym innym, jak piosenką ludową, jest ta pieśń, którą „się śpiewa nabożniej, niż kantyczkę, radośniej, niż hymn królewski, bo to jest Marsyljanka"... Znów burza oklasków, ze strony oczywiście pewnej tylko części obecnych, którym wyrazy marsyljanka i republika grają po najczulszych strunach duszy.

Piękny, charakterystyczny śpiew p. Ratulda ilustrował płomienne wywody pana Main'a.

Spędziliśmy prawdziwie paryską godzinę, za którą dzięki organizatorom.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* W sprawie zaburzeń na Uniw. Krakowskim opinja bezstronna jest stanowczo po stronie tej młodzieży, która broni Wszechnicy przed piewcą „Mojej Pani"; świadczy o tym chocby *Goniec* warszawski, gdzie w N. 31 czytamy:

> Jak już doniosły telegramy, Wszechnica Jagiellońska była wczoraj widownią scen niezmiernie przykrych i bolesnych. Sprawa prowokacyjnych wykładów ks. Zimmermanna zaczyna wchodzić w okres konsekwencji wprost tragicznych. Opór przeciwko próbie ustanowienia klerykalnej katedry socjologji pociągnie za sobą prawdopodobnie wypędzenie całych zastępów młodzieży polskiej z za kordonu, która przyszła do Krakowa po naukę — i to nietylko z uniwersytetu, ale nawet z granic państwa austryjackiego. Dokąd pójdą ci wygnańcy, na jakiej obczyźnie walczyć będą musieli o kawałek chleba — to zdaje się nie obchodzi nic, ani senatu akademickiego, ani wszelkich „sodalicji" studenckich, pracujących godnie ad maiorem gloriam Zimmermannów.

Ze swej strony prasa klerykalna, w myśl raz na zawsze obranej metody, sączy perfidne kłamstwa i oszczerstwa zjadliwe. W dziennikach tego typu ukazała się np. wiadomość, że młodzież postępowa, wpadłszy do gmachu w poniedz. o god. 3 p. p., zniszczyła meble, budując z nich barykady; gdy tymczasem wiadomo, że barykady stawiali klerykaliści, obwarowawszy się wewnątrz gmachu w nocy z niedzieli na poniedziałek...

Do tych kłamstw dodaje *Czas* następującą iście jezuicką potwarz:

> Zdaje się, wśród młodzieży nurtują prądy, chcące rozmyślnie podkopać powagę polskiego uniwersytetu, siejąc tu rozmyślnie burze i rozstrój. Następstwa, niestety, odczują najboleśniej nie burzyciele i agitatorzy, ale uboga młodzież, pragnąca się uczyć i pracować. Tym stosunkom niezdrowym musi być kres położony. Żadne społeczeństwo nie ścierpi podobnych zaburzeń.

Zamiast pomawiać młodzież o „prądy, chcące rozmyślnie podkopać powagę polskiego uniwersytetu", dystyngowany organ stańczyków zrobił by lepiej, gdyby zajął się praniem nobliwych swoich przyjaciół, mocno zbrukanych w Rydzyńskiej potrzebie.

* W sprawie kooperatywy piekarskiej w Jeziornie (por. *Na Dobie*) ostatni Nr. *Izraelity* przynosi następujące wyjaśnienia:

> W paru pismach antysemickich zjawiła się wiadomość o tym, jakoby Zarząd Akc. Tow. Mirkowskiej Fabryki papieru w Jeziornie wzbronił robotnikom sprzedawać na terenie osady fabrycznej pieczywo z ich własnej kooperatywy. Po zasięgnięciu informacji od rzeczonego Zarządu dowiadujemy się, co następuje: nie tylko podobnego zakazu nie wydawano, lecz, przeciwnie, kooperatywa założona była przy pomocy tegoż Zarządu; otrzymano bezpłatnie budynek, piekarnia otrzymuje węgiel bezpłatnie i t. p. Zgodnie z przewidywaniami Zarządu, kooperatywa ta pomyślnie się rozwija. Obecnie robotnicy pragną założyć drugą piekarnię w celu dostarczania pieczywa już nie dla siebie, lecz dla mieszkańców wsi poblizkiej. Zarząd odmówił wyłożenia kosztów na tę drugą piekarnię, uważając ją za przedsiębiorstwo odrębne, Zarządu w niczem nie obowiązujące. Fałszywą jest więc wiadomość, jakoby jakiemuś piekarzowi żydowi udzielono specjalnego pozwolenia na rozwożenie pieczywa robotnikom, im zaś tego wzbroniono.

KRONIKA.

WYNIKI KONKURSU. W tygodniu ubiegłym ogłoszony został plon konkursu dramatycznego, urządzonego przez Dyrekcję Teatrów Rządowych. Sędziowie konkursowi zorganizowani w składzie następującym: J. A. Swięcicki, Gabrjel Kempner, Ignacy Baliński, Władysław Rabski, Ignacy Matuszewski, Stanisław Kozłowski, Zdzisław Dębicki, Aureli Drogoszewski, Józef Sliwicki wydali wyrok tej treści:

„Zastrzegając się, że plon konkursowy przedstawia się pomyślnie pod względem wartości scenicznej, nie przynosi jednak dzieła wybitnego w kierunku literacko-artystycznym, przyznajemy pierwszą nagrodę w kwocie 1000 rb., 3-aktowej sztuce p. t. „Dzisiejsi"; drugą nagrodę w kwocie rb. 500, 3-aktowej sztuce p. t. „Sąd"; trzecią zaś nagrodę w kwocie rubli 300, sztuce czteroaktowej p. t. „Straceńcy".

Po otwarciu kopert okazało się, że autorem „Dzisinjszych" jest p. Stefan Kiedrzyński, autorem „Sądu" pan Czesław Halicz; autorem zaś „Straceńców" p. Tadeusz Konczyński.

Prócz tego przyznano odznaczenie sztukom następującym: „Bohater" baśń dramatyczna, w 3-ch aktach i „Wielki Król", dramat w 3-ch aktach.

Autorem „Bohatera" jest p. J. Szeliga; autorem „Wielkiego Króla" p. Amelja Hertzówna.

Laureat konkursu p. Stefan Kiedrzyński, ur. w 1887 roku jest autorem kilku utworów dramatycznych, granych na scenach Warszawskich i prowincjonalnych tudzież szeregu artykułów literackich i publicystycznych, które ciągu lat ostatnich zamieszczał w pismach postępowych.

Książki nadesłane do Redakcji:

Dr. E. Kiernik: „Życie w nurtach oceanu", z 1 tablicą i 33 rycinami w tekście. Kraków, 1910. Skład gł. L. Frommer. Str. 186.

Marja Czaplicka: „Olek Niedziela", wydawnictwo St. Sadowskiego. Warszawa. Powieść dla młodzieży z rysunkami Zofji Plewińskiej. 1911, str. 124.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.